Nr. 3. | Wychodzi 2 razy na miesiąc. Warunki przedpłaty na ostatniéj stronnicy. | **Kraków 1879.** *Pierwsza połowa Listopada* | Prenumerować możnaw redakcji, Kraków, ulica Reformacka N. 254, we wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych. | Nr. 3.



1. 2. 3.



4. 5. 6. 7.



8. 9. 10. 11.



12. 13. 14. 15.



16. 17. 18. 19



20.



21.



22.



23.



24.



25.



26



27



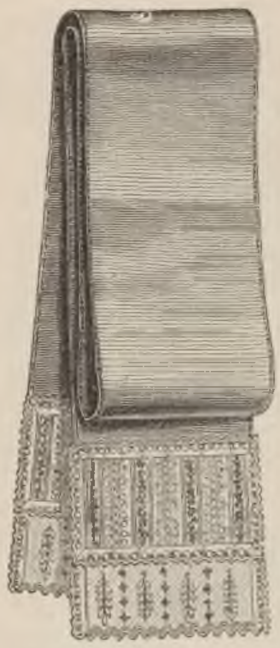
28.



29 30. 31.

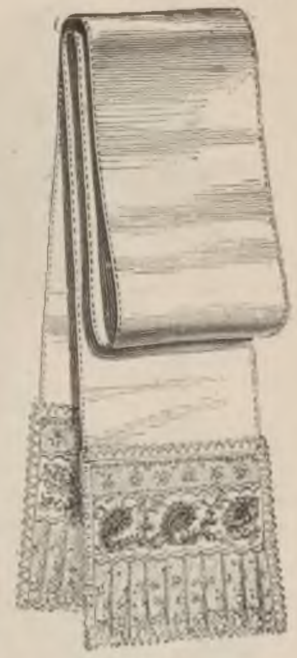

32.


33.


34.


35.


36.


37.


38.


39.


40.


41. 42. 43 44. 45.



46. 47. 48.



49.



50.



51.



52.



53. 54.



Nr. 3. Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Reformacka 254, I. piętro. **Kraków 1879.** *Pierwsza połowa Listopada.* Adres Właściciela: Ksaw. Głodziński, Warszawa, ul. Miodowa 1. **Nr. 3.**

Opis wielkiéj ryciny panoramowéj

dołączonéj do niniejszego numeru.

1. Ubranie spacerowe. Suknia półdługa ozdobiona falbaną fałdowaną, przód ułożony w płaskie fałdy, wyłogi obłożone kaszmirem lub podobną materją, stanik z dodanemi koszykami (paniers) zachodzącemi pod upięcie spódnicy, górna część kamizelki fałdowana, jak wskazuje rycina.

2. Ubranie objadowe. Suknia z długim trenem otoczona falbaną fałdowaną, przód ozdobiony pliskami i bufami atłasowemi, tunika formy princesse z materji przerabianej, upięta gustownie z tyłu. Listewka bufiasta z wystrzępionym brzegiem podtrzymuje fałdy.

3. Ubranie wizytowe. Suknia półdługa otoczona falbaną fałdowaną w odstępach, przód fałdowany w całości, tunika kwadratowa z tyłu, stanik gładki z wielkiemi koszami (paniers), kamizelka z kołnierzem szalikowym.

4. Kostjum krótki. Spódnica garnirowana dokoła wielką falbaną fałdowaną z główką, tunika książęca przecięta z przodu koszami, kamizelka aksamitna tworzy przód schodzący aż do dołu z wyłogami ząbkowanemi, wszystko obszyte koronką.

5. Ubranie do wyjścia na miasto. Suknia półdługa od dołu wysoko fałdowana, tunika upięta w ten sposób, że tworzy dwie szarfy, ozdobione frandzlą wystrzępioną dobranego odcienia, upięcie z tyłu oraz szarfy podtrzymują dwie wielkie kokardy, stanik gładki w pleckach, z przodu wyłogi fałdowane, kołnierzyk fałdowany tworzący krawatkę.

6. Ubranie wizytowe. Przód spódnicy pokryty zupełnie wielkiemi fałdami okrągłemi, tunika formy princesse z tyłu, koszyki (paniers) zachodzą pod boczki, kamizelka połączona z przodu, ozdobiona listewkami jedwabnemi naszywanemi w ukos, kołnierzyk gustownie upięty, ozdobiony frandzlą podobnież jak koszyki.

7. Ubranie do wyjścia na miasto. Spódnica długa, przód ułożony w rodzaj małego fartuszka z zakończonego w zęby u góry, na przodzie dwie szerokie listewki zakończone kokardą, tunika suto upięta tworzy wielkie fałdy z boku, stanik gładki, garnirowany z przodu ozdobami szmuklerskiemi, zresztą zupełnie zakryty koszami.

8. Kostjum wieczorowy. Wielka suknia książęca z bengaliny, upięta z tyłu, przod wycięty i upięty lekko po bokach, w ten sposób, że odsłania część drugiéj spódnicy kaszmirowéj; kamizelka z tegoż materjału zakończona w zęby. Kołnierz formy zwanéj medycejską (Médicis).

9. Ubranie do wyjścia na miasto. Spódnica półdługa, przód cały fałdowany, tunika formy princesse, zakończona w trzy zęby na przodzie, boczki upięte w wielkie bufy, z tyłu spada prawie gładko i pokrywa w całości spódnicę.

10. Ubranie objadowe. Spódnica z długim trenem otoczona falbaną z jedwabnéj materji, przód w rodzaju fartuszka z krepy chińskiéj w palmy kaszmirowe haftowane, długa tunika upięta z tyłu, ozdobiona szeroką listewką kaszmirową, wielki kołnierzyk z śpiczastemi końcami koronkowy.

11. Ubranie wizytowe. Spódnica półdługa z tyłu z pékinu w wielkie paski aksamitne, przód fałdowany, stanik z śpiczastemi końcami w pleckach formy fraczkowéj, koszyki dodane od dołu, kamizelka jednolita fałdowana, wielki kołnierz aksamitny.

Objaśnienie rycin

umieszczonych w numerze.

1—11. Ubrania jesienne i zimowe.

1. Suknia spacerowa z kaszmiru indyjskiego, cały przód marszczony z atłasu, falbana plisowana potrójnie na dole spódnicy, tunika obszyta plisą aksamitną w najnowszym guście. Stanik aksamitny, kołnierz i kamizelka z atłasu wełnianego.

2. Ubranie do wyjścia z atłasu wełnianego, wielka z galonami z atłasu ljońskiego, piękna draperja formuje wachlarz, stanik ostatniéj mody, ubrany materjałem przerabianym jedwabiem. Kołnierz formy z czasów Dyrektorjatu.

3. Ubranie do wyjścia z aksamitu wełnianego zwanego *velours laine ottoman*, przód plisowany z plisami atłasowemi, draperja z kaszmiru obszyta frandzlą łączy się ze stanikiem.

4. Ubranie do wyjścia. Składa się ze spódnicy ubranéj falbaną plisowaną szeroką na 20 cm., z tuniki z szerokim ukosem z aksamitu wytłaczanego (*velours frappé*) i z wetmanu formującego stanik z kołnierzem; kieszenie i wyłogi z aksamitu jak u tuniki.

5. Kostjum spacerowy, bogaty, ze wspaniałego aksamitu wytłaczanego na tle atłasowym (*velours frappé fond satiné*). Spódnica z kaszmiru indyjskiego, przybrana wysoką plisowaną falbaną. Tunika z tego samego materjału, draperja podwójna, brzegi obszyte aksamitem z jedwabną wypustką i stanik (vetement) z aksamitu z kieszeniami, kołnierz i przybranie z atłasu odpowiedniego do kostjumu.

6. Ubranie do wyjścia z ładnego materjału włosiastego (cheviot). Składa się ze spódnicy ubranéj falbaną plisowaną, z tuniki otwartej i podniesionéj elegancko, i z wetmanu formującego stanik z kołnierzem. Kieszenie i przybranie z podobnego materjału i z wypustką z aksamitu wytłaczanego (frappé) lub kaszmiru przerabianego.

7. Ubranie do wyjścia z czysto wełnianego materjału (vigogne). Spódnica ubrana wysoką falbaną szeroko plisowaną, tunika z podwójnem podniesieniem, oblamowanem aksamitem pompadour i vetement tworzący stanik z pięknego aksamitu pompadour takiego jak oblamowanie tuniki.

8. Kostjum „Mignon“ z wełnianego materjału w paski; spódnica z dużą falbaną plisowaną, tunika podpięta z obu stron, stanik formy żakietu zapinany z lewéj strony.

9. Kostjum „Liline“ z kaszmiru indyjskiego z draperjami z kaszmiru takiego, jak stanik i spódnica.

10. Kostjum „Hermosa“ z materjału vigogne różnych odcieni, przybrany kokardami z atłasu.

11. Kostjum „Turquoise“ z materjału choudas, przybrany podwójną wypustką, atłasowe lub aksamitne piękne upięcie, stanik elegancki, guziki inkrustowane.

12—15. Okrycia jesienne i zimowe.

12. Okrycie wizytowe z pięknego sukna dzikiego lub jednostajnego wigoniu, obszyte bogatą pasmanterją na plecach, a na około kastorem ze srebrzącemi się włoskami.

13. Okrycie Rotunda długości 1 metr 20 cm., z pięknego kaszmiru indyjskiego lub kaszmiru szkockiego jedwabnego, pikowane i watowane, oszyte na około futrem syberyjskiem czarnem, i piękne zapięcie szmuklerskiéj roboty.

14. Paletocik z pięknego sukna koloru śmietankowego, zapinany z przodu na dwa rzędy guzików koloru dzikiego.

15. Bogate palto wizytowe z sukna grubego, obszyte piękną frandzlą marubutową i naszyciem szmuklerskiem matowem albo ozdobami z dżetu.

16—19. Penioary i ubrania poranne.

16. Penioar. Materjał koloru dzikiego, zapinany na dwa rzędy guzików, odznaczający się piękną formą.

17. Penioar z materjału miękkiego naśladującego aksamit, zapinany na dwa rzędy guzików, podszyty flanelą.

18. Ubranie ranne z materjału dzikiego czysto wełnianego, przybrane ukosem w dwóch cieniach, podszyte flanelą.

19. Ubranie ranne z materjału gładkiego lub w prążki, kołnierz, kieszenie i mankiety aksamitne, spódnica obszyta falbaną plisowaną potrójnie.

20—23. Eleganckie okrycia wizytowe.

20 i 21. Płaszcz wizytowy ozdobiony pasmanterją i aplikacją wyszywaną dżetem z przodu, na około i przez środek plecek. Jedna duża frandzla wyciskana, druga ze wstążeczek oszyta na około paltotu, przy rękawach i na około szyi.

21 i 23. Elegancki płaszcz wizytowy cały haftowany i wyszyty sutaziem. Spód na około oraz mankiety są przybrane frandzlą szeroką ze wstążek wystrzępianych.

24. Ubranie domowe. Spódnica z przodu plisowana; na trenie średnio długim przybranie w zęby i plisowanie potrójne z materji lub wełnianego materjału przerabianego. Druga spódnica formuje z boku połę płaską i udrapowaną z tyłu. Stanik dosyć długi. Rękawy długie z wyłogami z materjału przerabianego.

25. Ubranie do wyjścia z materjału wełnianego. Stanik długi z materjału przetykanego. Spódnica półdługa z trzema falbanami plisowanemi. Druga spódnica pięknie i suto podpięta wielką kokardą.

26—28. Kapelusze zimowe.

26. Kapelusz filcowy czarny, ubrany długim czarnym strusiem piórem i ptakiem; rondko podszyte atłasem cardinal; wiązadła atłasowe czarne. Kapelusz ten może być zrobiony z filcu wszystkich odcieni z piórami naturalnemi.

27. Kapelusz dla młodych osób czarny filcowy, przybrany piórami kapłoniemi i pięknem piórem fantazyjnem. Taki sam kapelusz może być w innym kolorze z brzegiem odpowiedniego odcienia.

28. Kapelusz aksamitny niebieski, przybrany dwoma białemi piórami i piękną kokardą z białéj koronki; rondko podszyte marszczonym białym atłasem, wstążki do zawiązywania białe atłasowe. Kapelusz ten robi się także z aksamitu czarnego z piórami czarnemi, rondko podszyte marszczeniem różnych odcieni, wstążki do zawiązywania czarne atłasowe.

29—31. Okrycia wizytowe.

29. Bogaty płaszcz wizytowy z grubego materjału pikowany i watowany, przybrany pasmanterją z dużemi pętelkami jedwabnemi i chińskiemi bąbelkami, ozdobione frandzlą i wysoką falbaną plisowaną tworzącą buf.

30. Mantyla wizytowa z pięknego atłasu, przybrana frandzlą pętelkową i małą gipiurową pelerynką naszytą perełkami.

31. Eleganckie ubranie wizytowe z sukna naturalnego koloru przybrane małemi kaszmirowemi riuszami; frandzla i sznury stosownego koloru.

32—37. Szarfy i krawatki.

32. Szarfa „Lavallière“, jedwabna na obie strony w prążki, na końcach przerabiana w kwadraty rozmaitych odcieni, długość 1 m. 30 cm.

33. Krawatka atłasowa w różnych odcieniach, z koronką i atłasem plisowanym, haft ręczny na tiulu jedwabnym, długość 1 metr 25 cm.

34. Krawatka krepowa przybrana koronką i haftem; długość 1 metr 45 cm.

35. Szarfa „Lavallière“ z atłasu jedwabnego nowych odcieni; długość 1 metr 25 cm.

36. Krawatka wełniana przerabiana pod spodem, frandzla u dołu jedwabna dobrana do deseniu. Długość 1 metr 10 cm.

37. Krawatka atłasowa jednostatnego koloru, z koronką plisowaną i haftem wełnianym. Długość 1 metr 30 cm.

38. Chusteczka muślinowa przybrana koronką i przypięta kwiatem.

39. Płaszczyk dla dzieci od 9 miesięcy do lat 3. Z wełnianego materjału w kraty pikowany i watowany.

40. Zarzutka z pluszu jedwabnego naszywana perełkami. Taka sama może być ze sznurka i perełek przybrana kołnierzem marabutowym.

41. Ubranie dla panienek od lat 10—14, formy paltocika sukiennego koloru kasztanowatego, szarego lub czarnego, kołnierz, wyłogi rękawów i kieszeni z aksamitu wydrowatego. Kapelusik okrągły filcowy tego samego koloru co ubranie, obłożony pluszem, z piórem odpowiedniego odcienia.

42. Kostjum wełniany dzikiego koloru dla dorastających panienek, druga spódniczka podniesiona kokardą z wstążki; kamizelka przyszyta bronzowa naturalnego koloru. Kapelusz zrobiony fasonem z czasów Dyrektorjatu filcowy, koloru zastosowanego do całości ubrania, garnirowany wstążką pékin odpowiedniego odcienia.

43. Ubranie dla dziewczynek od lat 5—11. Sukienka angielska wełniana; przód marszczony i plisa pékin stosownego koloru. Kapelusz angielski filcowy odpowiedniego odcienia, przybrany piórami naturalnemi, kokarda i końce ze wstążki pékin.

44. Żakietka dla dorastających panienek z sukna czarnego marynarskiego, Kapelusz *Camargo* pluszowy czarny, kasztanowaty, na przodzie kokarda alzacka, boki lekko podniesione.

45. Ubrania dla panienek od lat 9—11. Spódniczka przybrana dwiema falbankami plisowanemi, stanik podpięty à la panier, wypustki atłasowe marszczone, kolor może być dziki, granatowy, szafirowy, ciemno zielony i t. p. Kapelusz amazoński filcowy odpowiedniego koloru, końce aksamitne lub atłasowe, na boku kitka z piór.

46—48. Okrycia na późną jesień i na zimę

46 i *48. Płaszcz wizytowy* z kaszmiru tureckiego w paski, obszyty futrem. Rękawy wielkie ozdobione sznurem szmuklerskim. Z tyłu obłożenie futrzane formuje dwie poły na kaszmirze i wielki węzeł ze sznura jak u rękawów spada w pośrodku.

47. Płaszczyk wizytowy z sukna koloru naturalnego. Plecy haftowane obszyte szmuklerszczyzną perełkowaną. Rękawy haftowane i obszyte frandzlą, która także otacza spód płaszczyka. Frandzla z tyłu jest ze wstążeczek karbowanych.

49 i 50. Ubranie czarne z kamizelką formy z czasów Ludwika XV, przybrana koronką koloru śmietankowego naszytą masą perełek bardzo małych i dżetem szlifowanym. Spódnica jest prawie cała z koronek plisowanych i mnóstwa perełek, również i przybranie.

51. Wzór haftu. Może być wykonany różnym sposobem, naprzykład złotem na aksamicie z użyciem włóczki lub jedwabiu kolorów naturalnych na liście i winogrona. Można również wybrać sukno, płótno i t. p. Wybór materjału zależy naturalnie od celu, do którego haft ten ma służyć.

52. Koronka w guście Renaissance. Do roboty używa się plecioneczek odpowiednio wyrabianych, które się kupuje gotowe i z których układa się główne zarysy, a potem zapełnia się wolne miejsca igłą lub szydełkiem stosownie do deseniu. Pikoty zdobiące spód robią się maszynowo i mogą być nabywane na metry.

53. Tualeta objadowa z kaszmiru kolorowego indyjskiego; tren i poły z bardzo pięknego pluszu, przód marszczony z atłasu stosownego koloru, i z pasmanterją bogatą naszytą perełkami.

54. Płaszcz do powozu, fasonu zwanego „Grande duchesse“, z sukna miękkiego koloru dzikiego, obszyty szeroko futrem, przybrany w tyle i na mankietach sznurami jedwabnemi stosownego koloru.

Opis tablic krojów

dołączonych do niniejszego numeru.

TABLICA I.

1. Stanik „Mignon“ z długą równą połą u dołu, na bok zapinany, rycina 8 w niniejszym numerze. Krój tego stanika w naturalnéj wielkości jest odznaczony linją pełną na Tabl. I: fig. 1 przodek, fig. 2 boczek przodkowy, fig. 3 boczek pleckowy, fig. 4 plecki, fig. 5 rękaw i fig. 6 kołnierz. Forma ta jest zastosowaną do miary w górnéj objętości 49 cm., długość boczka 18 cm. Podług téj samej formy można krajać na osobę tęższą o 1 lub 2 cm. bez odmiany, tylko stanik po sfastrygowaniu zeszywa się luźniéj w bocznym szwie pod pachą o tyle cm. ile miara wymagać będzie. (Sposób krajania materjału i fastrygowania objaśniono dokładnie w nrze 1 i 2 „Salonu“). Boczek przodkowy można krajać razem z przodkiem, lecz można go także od przodka odkroić. Do poły plecek i boczka pleckowego dodano na fałdy, które z lewéj strony układają się w kontrafałdy. W przodku z przodu między klapą a przodkiem u góry i w pasie zaszywa się zaszewkę tak głęboko, jak wskazuje miejsce zacieniowane. Można również klapę odkroić od przodka po krzywéj linji *p A*, następnie dodać na szwy i przyszyć ją do przodka.

Kołnierz robi się na podszewce, najprzód zeszywa się środek, następnie przyszywa się do stanika zaczynając od środka plecek, przyczem jeżeli co zbędzie końców, obciąć je wypada, a naostatku obszywa się pliska. Jeżeli zaś robimy kołnierz bez pliski, wtedy brzegi zakładają się do środka i obszywa się je stembnówką z prawéj strony. Guziki na lewym przodku przyszywają się tak daleko od brzegu, jak klapa wskazuje. Pod klapą zaś na drugie zapięcie przyszywa się haftki do lewego przodka, a do prawego na szwie od klapy koniki. Rękaw poczyna się wszywać od miejsca oznaczonego na pasze ząbkiem.

Podług téj saméj formy można krajać również staniki bez klapy, na jeden rząd zapinane i bez fałdowania z tyłu.

Takież same staniki można krajać podług drugiéj mniejszéj formy oznaczonéj linją przerywaną, na osoby posiadające w górnéj objętości 45 cm. i na tęższe np. 46—47 cm.

2. Stanik dla dziewczynki od lat 10 do 13 z jednym boczkiem, ryc. 45 w niniejszym numerze, krój na Tabl. I odznaczony linją kropkowaną: fig. 7 przodek, fig. 8 boczek pleckowy, fig. 9 plecki, fig. 10 rękaw; wierzchnia połowa rękawa szersza, a spodnia węższa. Na podpięcie poły przodka i boczka przy krajaniu materjału przedłuża się u dołu 15 cm., tylną połę przedłuża się na 20 cm. i upina się jak u wetmanów stosownie do upodobania. Sposób krajania stanika z materjału i fastrygowania, podany został w objaśnieniach umieszczonych w dwóch poprzednich numerach. Miejsce od którego zaczyna się wszywać rękaw w przodkowéj pasze, naznaczone ząbkiem.

Staniczek ten jest upasowany na miarę w górnéj objętości 34 cm., boczek 16 cm. Dla tęższéj konstrukcji po sfastrygowaniu w bocznych szwach pod pachą, zaszywa się luźniéj stosownie do miary, a dla szczuplejszéj zaszywa się ciaśniéj w boku i w ramiączku, ale w ramiączku o połowę mniéj, jak w bokach.

TABLICA II.

Wzory geometryczne podług wykładu Ksaw. Głodzińskiego.

Dla uczennic, które słuchały wykładu według metody Ksaw. Głodzińskiego, zbytecznem byłoby opisywanie sposobu rysowania i innych szczegółów, wszystko to bowiem znane im jest tak z ustnych objaśnień, jakoteż i z dzieł w tym celu wydanych, aby to jednak uczynić przystępnem dla wszystkich w następnych numerach poświęcimy temu przedmiotowi oddzielną rubrykę, którą jednak dla braku miejsca obecnie pominąć musimy.

3. Krój żakietu z odciętą połą i tuniki, zastosowany do ryciny 6 w niniejszym numerze, przeznaczony wyłącznie do materjałów grubszych, jak np. szewiotu lub grubszych jeszcze, podaje Tabl. II: fig. 11 przodek, fig. 12 boczek, fig. 13 plecki, fig. 14 poła, fig. 15 rękaw, fig. 16 przód tuniki, kołnierz zaś naturalnéj wielkości jest ten sam, który widzieliśmy na Tabl. 1, fig. 6. Forma przodka z przodu wykrawa się bez klapy po linji litera *p. A.* Zaszewka na linji od 26 zaszywa się w poprzek przodka tylko w podszewce na 2 cm. głęboko, a materjał przyfastrygowywa się gładko na téj zaszewce. Podszewka i materjał kraje się i fastryguje według objaśnień zamieszczonych w 1 i 2 numerze. Poła do tego żakieta cała wzdłuż i wszerz mierzy się mr.; rysunek u góry uzupełnia się z wolnéj ręki a boki i dół zapomocą prostéj linji. Poła z przodu od 8 do 10 skrawa się ukośnie; od przeciwnego końca poły przy krajaniu materjału do formy dodaje się na fałd 3 cm. w kierunku linji przerywanéj. Po zeszyciu stanika przyszywa się do niego połę, poczynając od przodu litery *u* do *u*, tylny koniec poły litera *B* łączy się z połą plecek litera *B*. Z tego co dodano do poły plecek i do poły oddzielnéj, składa się fałd w jedną stronę do plecek. Na wszycie rękawa odmierza się od ramiączka litera *D* na dół pachy 17 mr. Tunika wzdłuż mierzy się cm., a wszerz mr. tym samym co i stanik. Tunika jest u dołu otwarta, w tym celu skrawa się ukośnie na 24 cm. a wysoko na 36 mr. W miejscu kresek z przodu marszczy się drobno, a z boku fałduje się, jak to widać na rycinie 6 niniejszego numeru; z samego zaś tyłu zakończa się prostym brytem w buf upiętym. Cała długość téj tuniki od wykroju pasowego wynosi 106 cm., przeznaczoną jest dla osób średniego wzrostu, a na namarszczenie dodaje się 25 cm. U góry w wykroju pasowym zaszywa się zaszeweczkę na 3 cm. głęboką, następnie wszywa się do paska razem ze spódnicą. Spódnica do tak długiéj tuniki może być z podszewki, to jest z żagnotu i w takim razie przybiera się ją tylko u dołu falbaną i z przodu w miejscu otworu tuniki.

Podług wzoru tuniki fig. 16, krajać można i inne podobnego fasonu tuniki, takie np. jak przedstawiają ryciny 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 10 w niniejszym

numerze, z tą tylko odmianą, że u dołu wypadnie skrócić lub przedłużyć w ząb ostry lub owalny.

Uwaga. Podług powyższego wzoru można krajać żakiety i na dwa rzędy zapinane, jak to przedstawia rycina 4 i 5 w niniejszym nrze. Wtedy dodaje się do formy przodka u góry 7 cm., a u dołu idzie do zgubienia, jak wskazuje przerywana linja na odnośnym wzorku fig. 11, Tabl. II.

Podług wzoru żakieta wyżej opisanego fig. 11, 12, 13, 14 i 15 (Tabl. II), krajać można polonezy z oddzielną połą na dwa rzędy zapinane z grubego materjału lub watowane, z tą tylko różnicą, że przodek poszerza się w kierunku odznaczonym na wzorze fig. 17 (Tab. II), górą na 7 cm., w pasie na 5, a u dołu 4 cm. Poła u plecek i poła przednia oddzielna przedłuża się według upodobania, a z przodu poszerza się prostopadle w kierunku linji przerywanej (fig. 14). U długiej polonezy można poły ukośnie skrajać według upodobania.

4. Płaszcz dołmanowy, rycina 30 w niniejszym numerze. Krój naturalnej wielkości na Tabl. II: fig. 18 przodek odznaczony pełną linją, fig. 19 plecki, oznaczone przerywaną linją, fig. 20 rękaw spodni. Końce poły przodka i plecek dla braku miejsca są pozakładane w górę na linji przerywanej, jak wskazują strzałki. Po odkalkowaniu i odwróceniu na dół poły na rysunku do góry odłożonej oraz wykrojeniu formy poły otrzymamy całość, którą przedstawiają w miniaturze fig. 21 i 22. Cała forma upasowana na osobę posiadającą w górnej objętości 46 cm. Podług tej formy można krajać i na osobę tęższą o 2 lub 3 cm. i na szczuplejszą o 1 lub 2 cm. Krając materjał dodaje się 1 cm. naokoło formy.

5. Objaśnienie o fastrygowaniu tegoż płaszcza. Najprzód fastryguje się spodni rękaw z przodkiem litera *G* w *G*, ramiączko *C* w *C*, następnie rękaw wierzchni z pleckami, przodkiem i spodnim rękawem *H* w *H*, boki biorąc od dołu równo kończy się literą *E* w *E*, na ostatku zaś łączy się spodni rękaw z wierzchnim u dołu. Ten ostatni już na osobie przypasować należy. Spodni rękaw jest znacznie węższy od wierzchniego, którego brzegów nie należy obcinać, lecz zalamować. Na rękawie osobno są przyszyte mankiety, rozetami szmuklerskiemi przyozdobione i frandzlą przechodzącą od jednego rękawa przez plecy niżej pasa do drugiego rękawa obszyte, jak to przedstawia rycina 30 w niniejszym numerze.

6. Krój stanika i tuniki do sukni wizytowej do ryciny 49 i 50 w niniejszym numerze, Tab. II: fig. 23 plecki, fig. 24 przodek, fig. 25 boczek, fig. 26 rękaw, fig. 27 tunika. Przodek i plecki w kierunku zacieniowanym naszywa się koronką. Cała prawie spódnica naszywa się koronkami, po bokach przedzielona jest tuniką w guście skrzydła (fig. 27, Tabl. II). Przód tej tuniki wyłożony adamaszkiem. W pasie zaszywa się dwie zaszyweczki głębokie po 3 cm. i cały ten wykrój pasowy wszywa się do paska razem ze spódnicą. Skrzydła tuniki mogą być zwężone według upodobania. W przodku stanika na linji 26 zaszywa się zaszewka tylko w podszewce na 2 cm. głęboka. Podług tego samego wzoru krajać można i w innym guście staniki, a nawet i vêtements. Krając te ostatnie potrzeba tylko przedłużyć poły według upodobania lub też jak to w wielkiej tablicy panoramowej przedstawiają figury 7, 8 i 9.

KRONIKA MODY.

Czytałam kiedyś w piśmie lwowskiem „Tydzień“ artykuł dowodzący, że astronomowie omylili się oznaczając początki pór roku na epokę przesileń i porównań dnia z nocą. Według autora tego artykułu, logicznie rzecz biorąc, jak dzień nie zaczyna się w południe ani noc o północy, tak samo wiosna, lato, jesień i zima nie zaczynają się wówczas, kiedy wszystkie ich cechy charakterystyczne, jak długość dnia, stanowisko słońca i t. p. znajdują się w całej pełni, lecz wówczas właśnie przypada środek każdej z tych pór roku, a zatem początek każdej z nich o półtora miesiąca cofnąć należy.

Nie wiem co tam powirdzieli astronomowie o tem rozumowaniu, na które ja z praktycznego stanowiska najzupełniej się piszę, wiem tylko, że według tej metody, zgodniejszej z prawami przyrody niż astronomiczna, dziś dnia 5 listopada, gdy zasiadam do pisania niniejszej kroniki, przypada już początek zimy, wówczas gdy według astronomów ma to być dopiero środek jesieni, to jest niby jesień w pełni swych wdzięków i rozwoju.

Ślicznie dziękuję panom astronomom za taką jesień! Niech będą łaskawi zamiast patrzeć w niebo przejść się przez półgodzinki po botanicznych ogrodach, które w Krakowie i w Warszawie sąsiadują z ich obserwatorjami i niech dopiero wtedy raczą powiedzieć swoje zdanie o tej u zenitu swoich powabów znajdującej się jesiennej porze. *C'est une affaire de goût*, ale wolę już pana Herbsta tak jak nam go przedstawiają karykatury w „Kikeriki“ i w „Szczutku“, chociaż to jest centralista, w którego fizjonomji scentralizowała się brzydota, *als diesen astronomischen Herbst!...* Nie! łaskawe Czytelniczki, to już początek zimy, szkaradny początek, okropna chwila, w której bohaterskie ptaki, co Rzym ocaliły, dręczą się instynktownem przeczuciem święto-marcińskiej hekatomby, a inne zapaśniczki, także z piór swych słynne, to jest kronikarki mody, do których mam zaszczyt się liczyć, z rozpaczy spoglądają na biały papier, który położyły przed sobą, nie wiedząc co na nim napisać.

Opisywać modę.... piękne zadanie niezawodnie, tylko gdzież ją teraz zobaczyć, oprócz szpalt pism jej poświęconych. Zabaw nie ma, ażeby wyjść na miasto trzeba mieć więcej odwagi niż jej można wymagać od płci słabej, miejsca przechadzek publicznych opustoszały, ukazują się tam ci tylko, którym śpieszno się zaopatrzyć w katar i chrypkę, a kto przejeżdża ulicami, to używa tak szczelnie zamkniętego powozu, że do niego przez zapocone szyby nawet oko kronikarki mody zajrzeć nie zdoła.

Ciekawa byłam jak też w takich epokach radzą sobie moje koleżanki w prasie europejskiej i zajrzałam do rozmaitych dzienników. Dowiedziałam się ztamtąd, że środkiem uniwersalnym używanym w takiej sytuacji jest moralność. Domyślając się, że niejedna z pań w podobnej porze nie może wyjść nawet do kościoła na nabożeństwo, kronikarka mody *se guinde au ton de prêcheur* i prawi czytelniczkom małe kazańko.

Oto próbka takiego kazania, pióra pani Marie de Saverny, z „Revue de la Mode“. Tłómaczę ją jak umiem, z zastrzeżeniem, że to wszystko co się w niej mieści odnosi się tylko do paryżanek, a nie do moich czytelniczek, które z pewnością nie zasługują na tego rodzaju morały:

„... W tej epoce święto-marcińskiej, zmiennej i nieprzyjemnej, mamy czas na skupienie ducha, rozmyślanie o nowych modach i kontemplację nad stanem naszej tualety. W wielu główkach kobiecych toczy się w tej porze straszna walka: idzie tu o zrównoważenie rubryk budżetu, a mianowicie rubryki przeznaczonej na wydatki tualetowe, z działem wydatków na rzeczy użyteczne i koniecznie potrzebne. Mamy silną nadzieję, że rozsądek i dobry smak odniosą wszędzie stanowcze zwycięstwo. Jest jednak jeden punkt bardzo niebezpieczny, skała dochodząca pod samą powierzchnię wody, o którą się rozbijają zbyt lekko obładowane łódki. Skałą tą jest miłość własna. Chciałoby się występować z taką elegancją jak pani X. Jest to osoba bogatsza i więcej bywająca w świecie... cóż z tego?... sprawmy sobie taką samą lub równie drogą suknię, z takiemi samemi albo jeszcze droższemi przyborami. Lecz zkąd tu na to wziąć? Tutaj zaczynają się różne wcale nie chwalebne kompromisy: poświęca się to co jest użyteczne a nawet niekiedy konieczne. Po domu można chodzić w starej sukni, jest zniszczona, lecz cóż to szkodzi. Co nam tam po szlafroczku, po ubraniu negliżowem gustownem lub przynajmniej wygodnem, stary podarty stanik i poplamiona suknia wystarczy. Na dom to jeszcze dobre! I tak ze wszystkiem. Dzięki temu pięknemu systemowi zbiera się dość pieniędzy na upragnioną tualetę do paradowania na wizytach albo wieczorach. Piękna pani wraca do domu zadowolona z pochwał usłyszanych od przyjaciółek, z zaspokojoną miłością własną, zdejmuje szybko swój piękny strój, i śliczny motyl z ulicy staje się domową... poczwarką, aby nazajutrz znowu odbyć taką samą metamorfozę! Ale biedaczka zapomina, że ma towarzysza, pospolicie zwanego mężem, którego mało obchodzą tryumfy jakie jej próżność odnosi za domem. Byłby on nieskończenie bardziej zadowolony, gdyby widział swoją małżonkę gustownie ubraną w domu, gdyby mógł się przekonać, że więcej nieco myśli o nim, a cokolwieczek mniej o przyjaciółkach, przyjaciołach, znajomych lub nawet nieznajomych przechodniach z ulicy. Widząc się zaniedbywanym cóż dziwnego, że zaniedbuje swą towarzyszkę.

„Rozsądek, dobry smak i uczciwa a dobrze pojęta zalotność zależy na tem, ażeby się ubierać przedewszystkiem stosownie do swego stanowiska i majątku, a następnie na tem, ażeby w domu okazywać tyleż a może nawet więcej starania o siebie, niż po za domem. Precz z gwałtownemi przeskokami w tualetach, potrzebna jest pewna jednostajna elegancja w ubiorze. Kto nie bogaty niech używa tkanin skromnych, sukni prostych, ale dobrze zrobionych, nigdy zaś pomiętych, podartych lub poplamionych. Drobne ozdoby z wstążek, z koronek i kwiatów, urozmaicane często, staranne ubranie głowy, oto wszystko, czego potrzeba, klejnoty, kosztowności i wszystko co pretensjonalne, jest zbytecznem.

„Tej samej zasady trzymać się trzeba w tualetach do wyjścia, mogą być one nawet jeszcze prostsze od domowych. Wieczorem naturalnie muszą mieć cechę większej eleganeji, lecz bez przesady i bez fałszywego zbytku. Przy takim systemie ubierania się kobieta, choćby nie była ani bogatą, ani bardzo ładną, wyda się powabną nietylko wszystkim mężczyznom, ale nawet wszystkim kobietom, o co nieskończenie trudniej....“

Tyle jest słów kazania pani Saverny na początek zimy tegorocznej, nie astronomicznej lecz rzeczywistej. Co do mnie nie bawiłabym się nigdy w takie morały, gdyż jestem silnie przekonana, że dla moich Czytelniczek byłyby zbyteczne, a kiedy nie ma nic innego prócz morałów do zapełnienia w tej porze kroniki, widzę się zniewoloną złożyć pióro i czekać, czy do następnego numeru pora zimowa, która ma także swe powaby, a w epoce karnawałowej dla kronikarki mody jest prawdziwą kopalnią obserwacji i uwag, czegoś nowego nie przyniesie.

La même.

ZMYLONE KIERUNKI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

napisał

AURELI KURCZ.

III.

Im bardziej Stefan zbliżał się do miasteczka, im dalej był od miejsca, w którem ustał paroksyzm arystokratyczny, jakiego nabawiony został widokiem ceduły pocztowej, tem więcej przyśpieszał kroku i tem pilniej myślał czy z dodania jednostki do zera będzie mogło wypaść małżeństwo. Atrakcja gwiazdy miasteczka powiększała się zgodnie z prawem Keplera w stosunku odwrotnym do kwadratów zmniejszającej się szybko odległości, jaką jeszcze miał do przebycia. Powracał w sfery, z których go chwilowo wyrwała siła przyciągająca tytułu, i było mu z tem bardzo dobrze i błogo.

Mimo największego pośpiechu spóźnił się jednak dosyć znacznie. On co przychodził zazwyczaj najpierwszy, a rzadko bardzo drugi, stanął dzisiaj w domu państwa Pieprzyckich w chwili, kiedy nietylko wszyscy już byli zebrani, ale nawet większa część obecnych dokończała pierwszych szklanek chińskiego nektaru, stanowiącego fundament przyjęcia.

Doznał bardzo miłego i przykrego zarazem uczucia, gdy panna Helena zapytała go o powód tego spóźnienia. Pochlebiała mu ta wymówka, będąca dowodem, że ta, której całe miasteczko składało hołdy, zauważyła jego nieobecność, nie zdarzyło mu się bowiem słyszeć,

żeby z kimkolwiek innym, co się kiedy z przyjściem na herbatę opóźnił, w ten sposób zawiązywała rozmowę. Czuł się wyróżnionym w jéj myśli i to go czyniło dumnym. Ale z drugiéj strony przykro mu było, że na to wyróżnienie zasłużył, i że na wytłómaczenie swéj opieszałości podać nie mógł żadnego usprawiedliwiającego powodu. Przechadzka?... któż się przechadzką tłómaczy z opóźnionego przybycia tam, gdzie mu serce śpieszyć każe?... Interesa?... w małem miasteczku zanadto dobrze wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, żeby podobna było bez zdradzenia się z kłamstwem zmyślić jakikolwiek interes. Zmyślić więc nic nie było można, a przyznać się otwarcie do powodu, który wywołał spóźnienie, było także niepodobieństwem.

Ktoś więcéj oswojony ze światem, byłby sobie zapewne z łatwością poradził w tym wypadku, ale zestateczniały w miasteczku Stefan umiejętności téj posiadał.

— Tak jest, pani.... — wyjąkał, — spóźniłem się.... niechcący....

Panna Szańska nie miała co odpowiedziéć na takie usprawiedliwienie, tembardziéj, że jéj przeszkodziła doktorowa, podająca Stefanowi herbatę, rozmowa więc rozpoczęta w ten sposób urwała się w pierwszym zawiązku.

Zacząwszy mieszać łyżeczką w szklance, żeby się cukier rozpuścił, Stefan rzucił okiem na towarzystwo, złożone z ludzi, których widywał codziennie, na których twarzach zatem mógł zauważyć z łatwością każdy najmniejszy odcień nowego wrażenia czy uczucia.

Nie mogło też ujść jego uwagi, że nad całem zgromadzeniem gości zebranych u doktorstwa, jakaś ołowiana chmura smutku ciążyła.

Wszyscy byli małomówni, milczący prawie. Józik Potucki, zazwyczaj najweselszy z towarzystwa, był kwaśny jak cytryna i siedział pochylony w kąciku, patrząc w podłogę, jakby z niéj pragnął horoskop swéj miłości wyczytać.... Pan Piotr Palski z Zarębin wzdychał tak ciężko, jakby cały ciężar jego hypoteki cetnarową swą wagą przytłaczał mu barki. Michaś Szczepik szukał niby wąsów pod nosem, a tymczasem ukradkiem mały palec swéj ręki wtłaczał po kolei w jeden i drugi kącik oczny, jakby chciał łzom drogę zagrodzić. Pan Wawrzyniec wbrew swojemu zwyczajowi nie nagarniał włosów z tyłu głowy na świecącą niby słońce łysinę, a pan Roman skrzywiony, jakby w téj chwili właśnie uzupełniał tuzin koszyków, wyglądał tak, jakby do doktora Pieprzyckiego przyszedł na konsultację w jakiéj dolegliwości, a nie na herbatę z rumem oraz z bułeczkami z masłem. Nawet panny miały minki żałosne, chociaż po nich przy niewielkiéj przenikliwości można było odgadnąć, że się smuciły tylko dla konwenansu, bo smucić się wypadało.

Stefan patrzył i nie rozumiał, a mieszał herbatę i mieszał, aż nareszcie pani Pieprzycka, która tę manipulację brała za chęć wydobycia z cukru większéj słodyczy, podeszła do niego z cukierniczką, mówiąc uprzejmie:

— Zapewne niesłodka, panie Stefanie.

— O nie, pani konsyljarzowo, — odrzekł Stefan, posiłkując się prowincjonalnym komplementem, — słodko mi w domu państwa.... ale....

— Ale dzisiaj wszystkim żałosno, — jęknął z kąta Józik Potucki.

Stefan w roztargnieniu znów zaczął mieszać i pytającem spojrzeniem wodzić dokoła, żeby odgadnąć téj żałości przyczynę, nikt mu jéj jednak nie tłómaczył, jakby się umówili, że to dla niego pozostanie zagadką, lub jakby przypuszczali, że już wié wszystko.

Z pomiędzy panien dwie najbaczniéj przypatrywały się Stefanowi i czy najprzód odgadły, że Stefan nie wié o niczem, czy może były ciekawe, jakie taka wiadomość sprawi na nim wrażenie, odezwały się jednocześnie, ale nie z takim znowu smutkiem, jakiego ich minki żałosne kazałyby się spodziewać:

— Helcia, panie Stefanie....

— Panie Stefanie, Helcia....

Tu obydwie urwały, jak to bywa gdy dwie osoby razem mówić zaczną i każda przez grzeczność przestaje mówić, odstępując drugiéj pierwszeństwa.

Stefan spojrzał pytająco w ich oczy.

Były to owe dwie małomiejskie piękności, znane nam już z napisanego a nieposłanego listu: Marynia Lubska i Józia Papierkowska.

Bohater nasz przestał mieszać herbatę i nie mogąc się doczekać odpowiedzi, zapytał:

— Cóż, proszę pani.... panna Helena?...

Każda z dwóch panien zapytanie wzięła do siebie i obie odpowiedziały na wyścigi:

— Wyjeżdża jutro....

— Jutro o świcie jedzie....

Kilka przeciągłych westchnień wydarło się w téj chwili z piersi posępnych panów, ale wszystkie przygłuszył głośny brzęk tłukącego się szkła.

Biedna szklanka herbaty z tak doskonale przez usilne mieszanie rozpuszczonym cukrem, wypadła z rąk Stefana i w setne cząstki rozprysła się na podłodze.

Panny.... panny, te wieczne śmieszki, które w najuroczystszéj chwili, przy lada sposobności, lubią ponure minki odrzucać z oblicza, głośnym, arcyprowincjonalnym wybuchnęły chichotem. Prawda, że śmiech niejednéj niewięcéj był wesołym jak poprzedni smutek był smutnym, a zwłaszcza w śmiechu Mani Lubskiéj i w śmiechu Józi Papierkowskiéj dźwięczało coś wyraźnie skargą i wyrzutem.

Z panów jednakże nikt się nie roześmiał, bo każdy był przekonanym, że gdyby téj smutnéj wieści nie powiedziano mu przed herbatą, mógłaby się i jemu podobna wydarzyć przygoda.

Stefan się zarumienił, jak tylko na parafji młodzi ludzie rumienić się jeszcze potrafią i zmieszany przepraszał gospodynią, a w myśli coś mu powtarzało:

— Gdybym był hrabią.... zapewne ani Mania ani Józia nie śmiałyby się z mojego wypadku.... teraz śmieją się wszyscy, a raczéj wszystkie, bom prosty Mir, a nie hrabia.

Jedno jeszcze spojrzenie przekonało go, że był pomiędzy pannami wyjątek.

Oko jego spotkało się w téj chwili z okiem panny Heleny i nie dostrzegło w niem uśmiechu, lecz wyraz życzliwego współczucia.

Obdarzony drugą szklanką herbaty Stefan zaczął rozmyślać, usunąwszy się na bok od towarzystwa.

— Wyjeżdża!... — mówił do siebie, — wyjeżdża.... otóż masz.... wszystkie moje plany runęły.... jednostka w świat podąży szukać innéj cyfry, a zero pozostanie zerem.

Stefan był zawsze w szkołach pierwszym uczniem z arytmetyki i algebry, ztąd lubił porównania matematyczne.

Po chwili iskierka nadziei ożywiła jego zbolałe serce.

— Wyjeżdża, — rzekł sobie w duchu, — lecz może nie wyjeżdża na zawsze.... przecież do nas kiedy powróci....

Smutna to była i nietrwała pociecha, bo z tej myśli natychmiast wypłynęła inna:

— Może powróci, może nie.

Bądź co bądź przy światełku téj iskry nadziei w duszy Stefana zrobiło się nieco widniéj i w rozmyślaniach jego, obok smutnych myśli zaczęły się pojawiać projekta i plany. Dumał, czyby się nie udało skłonić jéj, żeby została dłużéj, i nie mógł znaleźć na to praktycznego środka.

Aż się nareszcie zdecydował na krok prawdziwie heroiczny.

— Powiem jéj.... że.... że ją kocham.... może to ją wstrzyma, a jeżeli nie wstrzyma, to już lepiéj, że z nią razem pożegnam wszystkie nadzieje.

Wypił herbatę, która dawno wystygła, bo o niéj w rozmyślaniu zapomniał i zaczął polować na sposobność zbliżenia się do pięknéj Heli.

Nie tak łatwo było ją znaleźć, bo zachodzącą gwiazdę miasteczkową trzymali w oblężeniu wszyscy mężczyźni, to po kilku, to po jednemu. Panny tylko dość chętnie trzymały się na uboczu, chociaż grzechem byłoby sądzić, że to czyniły dla uniknienia porównań.

Wytrwałość i cierpliwość Stefana nie byłaby się na nic przydała, gdyby panna Helena nie znalazła sama pretekstu i nie wyszła na chwilę do drugiego pokoju.

Po jéj wyjściu wszyscy tak byli swemi myślami zajęci, że oprócz Mani Lubskiéj i Józi Papierkowskiéj nikt nie dostrzegł, iż pan Stefan cichutko, na palcach prawie, wyszedł z bawialni i znalazł się obok panny Szańskiéj, która usunąwszy się z towarzystwa siedziała w drugim pokoju zadumana.

Przewidywała ona może jego przyjście lub tych słów kilku rozmowy na osobności pragnęła, bo skoro go tylko spostrzegła uśmiechnęła się do niego i wskazała mu miejsce obok siebie.

Przez cały ciąg rozmyślań swoich Stefan układał sobie jak z nią rozpocznie rozmowę, ażeby ją doprowadzić do tego, co powiedziéć zamierzał, w téj chwili jednak wszystkie owe przygotowane początki nagle wywietrzały mu z głowy. Słynął on z rozmówności w miasteczku, na najzłośliwsze docinki Mani lub Józi nigdy nie brakowało mu odpowiedzi, nawet panna Kunegunda Cudacka, która nie cierpiała milczków, nigdy się nie skarżyła na niego, że małomówny, przy Helenie jednakże zapomniał języka.

Z pięknie ułożonego początku rozmowy tak ważnéj i uroczystéj, zrobiło się coś tak pospolitego, tak prozaicznego, tak niezgrabnego, że aż się rumienimy za naszego bohatera.

Zaczął od westchnienia, a westchnieniu towarzyszyły wyrazy:

— Ah!... panno Heleno.... pani wyjeżdża!...

— Niestety, panie, wyjeżdżam, — westchnęła również panna Szańska.

Po wymianie tych wyrazów urwać się już miała rozmowa. Stefan był widocznie tego wieczoru urzeczony nieumiejętnością znalezienia się i rozmawiania. Postanowił jednak bądź co bądź rozmawiać daléj, więc się uciekł do pospolitego w takich razach środka, do powtórzenia tego samego frazesu w inny sposób.

— I pani nie zostanie?

— Nie zostanę.

Czy z litości czy z rozrzewnienia, którem i ją może wyjazd przejmował, panna Szańska najnaiwniéj w świecie odpowiadała Stefanowi na te pytania o rzeczy wiadoméj. Była dla niego w téj chwili tak dalece względną, że gdyby zagadnął ją jeszcze:

— A zatem pani opuści nasze miasteczko?...

Toby mu była odpowiedziała bez niechęci:

— Tak, opuszczę.

Stefan jednak nie zadał takiego pytania. Milczał przez chwilę, dziwiąc się sam sobie i czyniąc sobie wyrzuty, że tak licho rozpoczyna rozmowę.

Po chwili zagadnął nieśmiało:

— Ale pani niedługo do naszego miasteczka powróci?

— O! nie, panie.... — smutnie odszepnęła Helena.

Dźwięk téj przeczącéj odpowiedzi bolesnem echem odbił się w sercu Stefana, a boleść ośmieliła go nagle i dała mu odzyskać część zwykłéj wymowy.

— Dlaczego, pani?... — rzekł już bez namysłu i potoczyście, — czyżbyś bez żalu opuszczała tu serca, które cię kochają?... czy wątpisz pani, że są takie serca?...

— O! nie wątpię o tem, panie Stefanie.

— A więc dlaczego takie serca zakrwawiać? czemu im nie pozostawić chociaż wątłéj nadziei, ażeby życie zdala od pani nie wydawało się im pustką i próżnią?...

Panna Szańska milczała, nie tając jednak, że słów tych z pewnem wysłuchała wzruszeniem.

Stefan ośmielony coraz wymowniejszym się stawał.

— O! nie, — zawołał, — pani powrócisz, pani wysłuchasz próśb naszych.... mojéj prośby, panno Heleno.... lub przynajmniéj.... jeśli ci wrócić niepodobna, nie zabronisz mi pani udać się za tobą.... gdziekolwiek losy cię poniosą, nie zostawisz mnie tutaj z tem świętem uczuciem, którem od chwili poznania ciebie żyłem jedynie i byłem szczęśliwy....

Od wykrzyknika głos Stefana zniżał się ciągle, w miarę wypowiadania tych wyrazów, aż doszedł do cichego szeptu. Wypowiedział je-

[Je]dnakże wszystko, jakby na dowód, że miłość [o]d czegokolwiek zacznie, zawsze musi skończyć na swojem.

Helena milczała chwilkę, jakby w swojéj główce, do której nagle krew uderzyła i w sercu [b]ijącem gwałtownie, szukała odpowiedzi na te proste ale pełne uczucia oświadczyny.

Wreszcie podała Stefanowi rękę i rzekła:

— Panie Stefanie, bądźmy otwarci.... domyślałam się tego, coś mi pan powiedział.

— Ah! pani! — przerwał Stefan uszczęśliwiony, najlepiéj sobie wróżąc z takiego zaczęcia.

— Pozwól mi pan dokończyć, — mówiła daléj Helena z powagą, — domyślałam się tego, i to jest jedną z najważniejszych przyczyn mego wyjazdu.

— O! pani, — jęknął znów nasz bohater, ale tym razem takim jękiem, jakie Orfeusz wydobywał ze swojéj lutni, ażeby rozrzewnić kamienie.

— Nie dlatego, panie Stefanie, — kończyła śliczna blondynka, — żeby to, coś pan powiedział, miało być dla mnie niemiłe....

Podrzucany jak piłka od nieba do ziemi, Stefan się znowu znalazł pod gwiazdami.

Otwarte i szczere przyznanie się do wzajemności, było czemś więcéj niż w najśmielszych roił marzeniach.

Ale dalsze słowa Heleny strąciły go niebawem w przepaść jeszcze głębszą i czarniejszą niż przedtem.

— Tylko.... panie Stefanie.... — mówiła drżącym głosem i z lekko spuszczonemi oczyma,— że to uczucie nie ma i miéć nie może żadnéj przyszłości.

— Jakto, pani? — zawołał Stefan złamany i rozbity nawałem różnych wrażeń bolesnych i radosnych, których tyle doświadczył w jednéj chwili, — jakto, pani?... więc są przeszkody, które stanąć mogą na drodze świętéj i wytrwałéj woli dwóch istot głębokiem związanych uczuciem?.. Jakież są te przeszkody?... wymień je pani!... Stanę z niemi do walki i zwyciężę lub zginę.... Jesteś biedną, ja mam niewiele.... lękasz się życia pracy, drżysz przed niedostatkiem.... a więc mi pozwól miéć nadzieję.... przyrzecz mi czekać, a praca i wytrwałość da mi niedługo chleba dosyć dla nas dwojga....

— To nie przeszkoda, panie Stefanie.... Nie znam się dobrze na skalach majątkowych, ale mnie ludzie zwykle uważają za bogatą....

— A! pani jesteś bogatą, a jam biedny, — westchnął Stefan.

— Nie sądź pan, żebym takie względy brała na uwagę.... są inne przyczyny....

— Wola rodziców pani?...

— Nie mam ich....

Stefan nie pojmował co się z nim działo, pytającem spojrzeniem badał ją tylko.

— Nie pytaj pan, — mówiła daléj, — rozłącza nas przeszkoda niezwalczona, która pozostać musi tajemnicą.... Widziałam w twojem sercu rodzące się uczucie, które nie mogło dla mnie zostać obojętnem. Dla pana i dla mnie, panie Stefanie, lepiéj będzie, gdy się rozstaniemy jak najprędzéj i zapomniemy o sobie....

— A! pani, — zawołał z goryczą Stefan,— [t]en tylko radzić może zapomnienie, kto sam [z]apominać umié!...

— Lub kto zapomniéć musi, panie Stefanie,— [o]dpowiedziała łagodnie, — bądź pan mężczyzną, [i] jeśli cię to skaże na cierpienie, miéj choć tę [d]robną pociechę, że nie sam cierpisz.

Ścisnęła lekko jego rękę, spojrzała mu w oczy [w]zrokiem, w którym nie mógł nie dojrzéć dwóch [b]ez boleści i współczucia i odeszła pośpiesznie.

Dzień ten był niby snem w życiu Stefana.... [Ś]niło mu się, że był hrabią, że był kochanym. [N]adeszła chwila przebudzenia i nic nie pozo[s]tało ani z tytułu, którym przypadek na chwilę [p]rzed jego oczyma zamigotał, ani z miłości, [b]ez któréj przebudzony zdawał się nie rozumiéć [ż]ycia.... (D. c. n.)

SŁOWIK.

(Z C. F. Gellerta).

Zaśpiewał słowik, okolica cała
Z upojeniem go słuchała;
Liście na drzewach jego pieniu
Przysłuchiwały się w milczeniu,
I zasłuchane w jego piosence
Nie spały chóry ptaszęce.
Nawet Jutrzenka tak się zachwyciła,
Że dłużéj niż zazwyczaj na niebie bawiła,
I bogów bowiem przenika
Miły, luby śpiew słowika,
A śpiewak dla bogini poranku uroczéj
Najpiękniejsze swe pieśni zawodził ochoczy.
Nareszcie umilkł. Skowronek doń rzecze:
„Że piękniéj od nas śpiewasz bynajmniéj nie [przeczę,
Godnyś pierwszeństwa i wszelkiéj pochwały,
Lecz choć jesteś mistrzem w sztuce,
Ja ci jednakże zarzucę,
Że śpiewasz przez czas krótki, a nie przez rok [cały“.
Słowik rzekł na to z uśmiechem:
To co mi ganisz nie jest wcale grzechem,
Ale na chlubę raczéj mi wypadnie.
Śpiewam krótko... dlaczego?.. aby śpiewać ładnie.
W śpiewie mym słucham przyrody,
Śpiewam gdy ona pieśni mi poddaje,
Gdy każe zmilknąć — przestaję,
Gdyż chciéć przeciw niéj walczyć daremne za- [chody“.

Poeci! wpatrzcie się w słowika,
Winniście wstąpić w jego ślad,
Zapał młodości z wiekiem znika,
Duch twórczy słabnie z biegiem lat....
Śpiewajcie, póki świat czaruje
Młodzieńcza świeżość waszych nut;
Arcydziełami się wstępuje
Do nieśmiertelnéj sławy wrót.
Śpiewajcie Niebu hymn wspaniały,
Ustańcie, gdy ostygnie krew,
Bo lepiéj skończyć w pełni chwały,
Niż późniéj z wstydem przerwać śpiew.
Mówicie: „Któż ma zmuszać wieszcze?
Krępować ich natchnienia dzielność?“
I starcy wciąż śpiewacie jeszcze,
Aż prześpiewacie nieśmiertelność!

A. Gl.

ŚLEPY RZEŹBIARZ.

Opowiem wam rzecz nieprawdopodobną ale najściśléj prawdziwą, o autentyczności któréj mogłoby poświadczyć wielu paryżan.

W mieście tem przebywa rzeźbiarz dotknięty od lat wielu zupełną ślepotą, który jednakże pracuje w swoim zawodzie i wykonywa figury żwierząt pełne ruchu i życia, mające rzeczywistą wartość artystyczną.

Pewnego dnia jeden z moich przyjaciół, rzeźbiarz Oliva, przyszedł mnie odwiedzić i zwrócił moją uwagę na przedmiot, zasługujący na to, abym o nim pomówił w jednym z odczytów o niewidomych, które miewałem w owym czasie w Paryżu.

Przyjaciel mój zwrócił słuszną uwagę, że bywają niewidomi stroiciele fortepianów, muzycy, wyrabiacze siatek, ale że ślepy rzeźbiarz jest zjawiskiem najzupełniéj wyjątkowem. Palce zastępują mu oczy tak dalece, że za ich pomocą, obchodząc się zupełnie bez zmysłu, którego jest pozbawiony, lepi glinę, wygładza i zaokrągla kąty, modeluje formy. Temi samemi palcami studjuje dzieła swych kolegów, poznaje je, wydaje o nich sąd, wytyka błędy, ocenia wrażenie, i to zazwyczaj w sposób bardzo trafny.

Kolega ślepego artysty dodał nadto, że człowiek ten jest bardzo niezamożny i że odwiedzając go mogę nietylko uzupełnić swoje studja, ale nadto spełnić dobry uczynek. Artyści paryscy znają go dobrze i każdy może wskazać jego mieszkanie przy ulicy Denfert, 22, gdyż w obec takiego nieszczęścia ustępują na drugi plan wszelkie względy współzawodnictwa albo poziomej zazdrości.

Poszedłem za tą uprzejmą radą i dobrze uczyniłem.

Niewidomy rzeźbiarz p. Vidal urodził się w Nîmes w r. 1831, a wzrok stracił w r. 1852 mając zaledwie lat 21. Kalectwo, któremu uległ jest nieuleczone, jest to paraliż nerwu optycznego. Po przebyciu okropnych cierpień musiał się poddać operacji wyjęcia soczewek, jest zatem pogrążony w nocy zupełnéj, w nocy, która nie może miéć poranku.

Straszna ta klęska spadła na niego nagle. Jednego dnia jeszcze widział jak wszyscy, nazajutrz się obudził pozbawiony światła dziennego. Łatwiéj sobie wyobrazić niż opisać przerażenie jakiem przejmować musi nieszczęsnego pacjenta podobna katastrofa.

Przed utraceniem wzroku Vidal żył w towarzystwie artystów w poufałych stosunkach z rzeźbiarzami Barye i Pradier. Studja swoje artystyczne posunął już bardzo daleko, nie chciał więc ich zaprzestawać, nie poddał się zniechęceniu i postanowił nie ustępować z placu. Po kilku tygodniach prób i macania zabrał się znowu do prac przerwanych i palce zastąpiły mu oczy.

Łatwo jednak odgadnąć ile walk przebyć musiał, nim to osiągnął, ile razy kołysał się nadzieją, a za chwilę opuszczał ręce. Być pozbawionym możności widzenia, zmuszonym oceniać naturę tylko w przybliżeniu, na domysł, zniewolonym dopiero przez nieustanne próby, przez porównania i macanie otrzymywać z mozołem regularność linji i wypukłości, a oprócz tego walczyć ciągle z niedostatkiem, z potrzebą, czyż to nie jest los godny bliższego poznania, tembardziéj, że ta walka trwa już od lat dwudziestu siedmiu, i że nieszczęśliwy, który ją toczy, wié o tem, że tak walczyć będzie aż do grobu!

Przed zobaczeniem się z niewidomym artystą szukałem w dziełach rozmaitych, czy taki wypadek wyjątkowy nie miał już dawniéj przykładu. Rzeczywiście starożytność przekazała nam wiadomość o ślepym rzeźbiarzu, był to jednak artysta, który ograniczał się na kopjach, to jest przedstawiał naturę już odmodelowaną przez kogo innego.

Udało mi się znaleźć i drugi przykład, odnoszący się do końca XV czy początku XVI wieku, do czasów sławnéj królowéj Anny Bretańskiéj, małżonki króla francuskiego Karola VIII, która po śmierci tego monarchy zaślubiła jego następcę Ludwika XII, rozwiódłszy go z pierwszą żoną. Królowa ta znana w historji, gdyż za czasów wyprawy pierwszego swego męża do Włoch w r. 1494, samodzielnie sprawowała rządy, a na drugiego małżonka przeważny wpływ wywierała, pamiętną jest także przez to, że pierwsza z królowych francuskich miała swą osobistą straż przyboczną i pierwsza zaprowadziła zwyczaj używania na suknie żałobne czarnych materji, gdyż przedtem biały kolor oznaczał żałobę.

Otóż na dworze téj monarchini przedstawiano raz rzeźbiarza dotkniętego ślepotą. Królowa chcąc się przekonać jak daleko sięga czułość jego palców, dała mu do obmacania sztukę monety. Kaleka dotknięciem zbadał stempel i wymienił dokładnie imię króla i napisy, za co otrzymał pensję z prywatnéj szkatuły królewskiéj.

Jeżeli jednak Vidal miał poprzedników, za to przewyższył ich tem, że jego kreacje są oryginalne. Dzieła swoje posyłał na wszystkie wystawy od 1855 do 1875 roku, a w rokn 1861 otrzymał medal. Przedmiotami, które traktuje z upodobaniem, są pantery, lwy, umierające jelenie, kozy, krowy, osły, konie, tygrysy, byki, psy i t. p. Kilka jego marmurów i bronzów nabyte zostały kosztem państwa.

Już przed poznaniem go nie była mi obcą subtelność, do jakiéj dochodzą inne zmysły u pozbawionych wzroku, wiedziałem jakich cudów dokonać może wprawna ręka, wyznaję przecież, że rzeczywistość w pracowni Vidala przewyż-

szyła wszystko, com widział i czego się mogłem spodziewać pod tym względem.

Artysta pracuje o którejkolwiek godzinie doby, najbardziéj jednak lubi pracować w nocy, bo ta mu daje najwięcéj samotności i ciszy. Co go może obchodzić światło, którego nie zna, o którem mu pozostało tylko słabe wspomnienie?

Jeden z moich kolegów opowiadał mi, że spotkał się raz z Vidalem o dziesiątéj godzinie wieczór na bulwarze Saint Michel i Vidal zaprosił go na chwilę do swéj pracowni. Weszli razem i niewidomy zaraz się zabrał do pokazywania koledze swoich prac, zapomniawszy o tem zupełnie, że on ich widzieć nie może. Dopiero ostrzeżony o tem roześmiał się serdecznie ze swego roztargnienia i zabrał się do szukania świecy i zapałek, co mu nie przyszło bez trudu, gdyż tych przedmiotów używa tylko dla gości.

Rozumié się, że przedewszystkiem zacząłem się go rozpytywać o warunki materjalne jego pracy. Pojmowałem jeszcze, że za pomocą dotykania można śledzić bieg linji, regularność konturów, ale grubość, modelowanie, głębokość, stosunki? Wszystko to było dla mnie zagadką.

Ślepy rzeźbiarz odsłonił mi swoją tajemnicę praktycznie. Jeden z moich przyjaciół przyprowadził mu dnia poprzedniego wspaniałego psa. Vidal pieszcząc się z tem zwierzęciem, poznał jego kształty i zanotował sobie w pamięci wszystkie ich cechy charakterystyczne. Pamięć to czysto specjalna, która się koncentruje w końcach palców. Zaczął więc w mojéj przytomności odtwarzać tego psa z pamięci.

Trzeba było widzieć samemu tę zadziwiającą robotę, ażeby sobie zdać z niéj sprawę. W epoce, w któréj artysta stracił wzrok, ukończył już studja anatomji i zootomji. Nikt też lepiéj od niego nie zna układu kości i muskułów zwierzęcych, ich łączenia się i ściągania. Zootomja zatem służy mu za przewodnika i dostarcza punktów wytycznych, które posiadając nie może się już pomylić.

Wiedząc o tem pojmiemy, że stosunkowo biorąc nie jest to dla niego wielką trudnością ulepić najprzód figurę idealną, szkielet, zaledwie trochę powleczony ciałem. Następnie trzeba było przyoblec to muskułami. Instynkt wspierany przez doświadczenie, niezmierna delikatność czucia w palcach, ruchy ich gdy przesuwają się po wypukłościach i wklęsłościach niby po klawiszach stokrotnie wypróbowanego fortepjanu, dokonywują reszty.

Gdybym tego nie był widział, nie byłbym w to uwierzył, ale widziałem, widziałem na własne oczy bryłę gliny przetwarzającą się w dobrze mi znaną postać psa. Było to z początku tylko dowcipne połączenie kości i muskułów, coś jak te szkice niepewne, któremi malarze pokrywają swoje płótna nim przystąpią do szczegółów wykonania. Potem powoli muskuły się wypełniały, zwierzę nabywało pełności i narysował się dokładnie cały jego obraz. Przekonałem się. Warto tu dodać, że szybkość téj roboty była jednym ze szczegółów, które mnie dziwiły najbardziéj. Ślepy rzeźbiarz jest obfity w pomysły, wyobraźnia jego jest płodną, nie powtarza ciągle jednego modelu, lecz tworzy ciągle nowe. To też łatwo zrozumieć, że ich wykończenie zabiera mu dużo czasu; jest to najmozolniejsza i najdelikatniejsza część jego pracy.

Nie na tem jednak był koniec mego zdziwienia.

Na zapytania moje Vidal oświadczył mi, że jest w możności oceniać prace cudze tak dobrze jak swoje. Był na wystawie w r. 1875, gdzie się znajdował jego lew naturalnéj wielkości i zwiedzając ją studjował dzieła rzeźby, naturalnie te tylko, które były tak umieszczone, że ich się można było dotykać. Jak powiadają ci, którzy towarzyszyli tym ciekawym oględzinom nie omylił się ani razu w swych zdaniach, czy to chwalił artystyczność roboty, czy wytykał niektóre błędy.

Dokazał więcéj. Zrobił swój własny portret w medaljonie, a chociaż zwierzęta są jego specjalnością, podjąłby się chętnie roboty popiersi, byleby tylko model zamiast pozowania nieruchomo zgodził się na jego sposób badania form i zarysów palcami.

Vidal bywa w teatrze. Gdym to usłyszał nie mogłem się powstrzymać od niedowierzającego wykrzyknika. Resztę rozumiem jeszcze, ale jak ocenić grę aktorów za pomocą samego słuchu? Otóż tutaj jego opowiadanie zdawało mi się paradoksalnem, inne świadectwa przecież ręczą, że może to być prawdą. Ślepy po dźwięku głosu i po właściwości intonacji ocenia wartość artysty scenicznego. Słuch jego jest tak delikatny, że śledzi ruchy aktora na scenie. Ślepy widz, — proszę mi wybaczyć to konieczne połączenie sprzecznych wyrazów, — lepiéj nieraz od widzów widzących wié, w jakim punkcie aktor się znajduje. Od tego do ocenienia jego gry już nie daleko. Vidal utrzymywał, tonem zupełnéj i wzbudzającéj wiarę szczerości, że myli się bardzo rzadko, i że słysząc występującego debiutanta, mógłby mu prawie zawsze przepowiedzieć, czy będzie miał powodzenie.

Chociaż nie może rozróżniać światła od ciemności, dni bardzo jasne, słoneczne, nie są dla niego dogodne. W dniach takich rzadko wychodzi z domu, bo nie jest pewnym swoich kroków. Dni pochmurne są dla niego bardzo odpowiednie, a najodpowiedniejszą noc, gdyż w tym czasie jeździ mało powozów i mało bywa przechodniów. „Jest to ulubiona pora moich przechadzek, — mówił do mnie, — chodzę gdzie chcę bez przeszkody, używam ruchu, biegam jak prawdziwy królik“.

Zauważyć należy, że jak największa część niewidomych Vidal nie mówi nigdy „czułem“, „dotykałem się“, ale zawsze „widziałem“. Jeżeli się znajduje w bliskości muru, drzewa, latarni gazowéj, odgaduje to; ruchy jego są szybkie i rzadko mu się zdarza wahać się. Czyż nie jest rzeczą cudowną ta równowaga jaką przyroda utrzymuje w swoich organach. Wzrok znika lecz natychmiast słuch, czucie, węch rozbudzają się i delikatnieją. Cały organizm zdaje się składać na zastąpienie brakującéj części.

Niewidomi bywają w ogólności wesołego usposobienia. Dlaczego tak jest, tego filozofja nie umié wytłómaczyć, tak jednak jest zazwyczaj. Zapytywałem Vidala o jego humor. Było to pytanie delikatne, należało bowiem szanować tajemnice jego życia prywatnego, a wiedziałem, że rzeźba jako sztuka zbytkowna, mająca mało konsumentów, nie wzbogaca swoich adeptów, tembardziéj, że materjał, w którym pracują jest drogi, subwencje rządowe bardzo rzadkie, a mecenasi prywatni jeszcze rzadsi. Mistrzom tylko udawało się uzyskać niezależność materjalną bardzo rzadko i po długich latach pracy; dla nie mających majątku i regularnych zamówień, życie musi być bardzo trudne. To też i Vidal nie mógł się znajdować w położeniu dostatniem. Jednakże do téj chwili nigdy nie popadł w zniechęcenie, ma wiarę w siebie, nadzieję, pociechą dlań jest praca, a rozkoszą sztuka.

Widziałem w Paryżu wiele rzeczy ciekawych i wzruszających, ale rzadko mi się zdarzyło spotkać coś, coby było równie wzruszającem i ciekawem, jak widok tego artysty-kaleki, oraz rozpatrzenie się w jego pracach i w jego wyjątkowem położeniu. **Dr. D.**

MEDJOLAN.

Kartka z dziennika podróży.

Gdym zbliżając się do Medjolanu przebywał ostatnie wioski Piemontu i pierwsze pola Lombardji, po których wiła się rzeka Ticino, podobna w blasku południowego słońca do rzeki roztopionego srebra, trzy postanowienia zajmowały mój umysł: obejrzeć katedrę, całą z białego marmuru, przebiedz ulice medjolańskie, na których dwa razy w ciągu lat siedemdziesięciu ściskano i obsypywano kwiatami żołnierzy francuskich, jako zwiastunów (niestety zwodniczych) wyzwolenia i zwiedzić cienistą aleję, w któréj Silvio Pellico, z głębi karety, jadąc pomiędzy dwoma żandarmami austrjakimi, rzucał ostatnie spojrzenia żalu i pożegnania swym przyjaciołom i swojéj młodości. Żadnemu jednak z tych trzech postanowień nie zawdzięczam głębokiego wrażenia, jakie na mnie wywarł Medjolan.

Było to siódmego października w ciepły dzień jesienny. Słońce paliło. Przybywszy do miasta przedewszystkiem o godzinie 9 rano udaliśmy się do katedry. Ciemność, która tam panuje, ogromna grubość i olbrzymia wysokość filarów, silna budowa naw, posadzka, na któréj nie było w téj chwili nikogo z ludzi, i ani jednego przedmiotu, przejęły nas pierwszem wrażeniem, zdumiewającem a nawet przerażającem nieco. Takiego wrażenia nie wywiera wstąpienie do żadnego z największych kościołów francuskich, gdyż te nawet w godzinach, w których nie ma nabożeństwa, zastawione są ławkami i krzesłami, co je zapełnia i niejako zaludnia. Po tem wrażeniu i pod jego wpływem zaczęliśmy doznawać przyjemności artystycznéj różnéj zupełnie od wrażeń religijnych.

Jest to architektura jakby zazdrosna łatwych tryumfów swoich sióstr poezji i muzyki, architektura milczeniem swojem śpiewająca pieśń głęboką, czarującą i majestatyczną. Próżnia tych pięknych kościołów włoskich zdaje się być obliczoną na to, aby artyści i marzyciele mogli tam słyszeć ten śpiew tajemniczy linji, te wibracje olbrzymiego niemego instrumentu, wyrobionego z najpiękniejszych marmurów i nastrojonego przez największych mistrzów budownictwa. Tę symfonję kamienia i samotni słyszeliśmy następnie wszędzie we Włoszech, w katedrze florenckiéj, w bazylice świętego Piotra, w kościele świętego Pawła *extra muros*, w kościele świętéj Marji Większéj, téj pięknéj bazylice o jakiéj marzyli architekci cezarów.

Leży to w naturze ludzkiéj, że pojęcie moralne uczucia łączy się w naszych zmysłach i spływa z pojęciem materjalnem bogactwa. Jeżeli złoto oraz drogie i rzadkie kamienie nie przyjdą w pomoc myśli choćby najpokorniejszéj, najczystszéj i najskromniejszéj, myśl ta zatraca się wkrótce i nic z niéj nie pozostaje. Sztuka więc ma za zadanie otoczyć tę myśl swoim czarem, zbytek musi położyć swoją cechę próbierczą na tem, co pewien sąd kompetentny uznał za wzniosłe a nawet za święte. I gdzie ta cecha próbiercza położoną zostanie, tam dumni są wszyscy posiadający przedmiot nią oznaczony, czy są jednostkami, czy rodziną, czy miastem, okolicą lub krajem. Tak Medjolan dumny jest z tego, że śmiertelne szczątki Karola Boromeusza spoczywają w kaplicy podziemnéj, która kosztowała cztery miljony franków. Natura ludzka prawdopodobnie się nie zmieni, ale rozum tegoczesny, rozświecający niedyskretnie latarnią elektryczną wszystkie podziemia, okazuje nam tak tu jak wszędzie, że jesteśmy i byliśmy po wszystkie czasy igraszką próżnych złudzeń. Tak jest i z turystą, któremu nazajutrz po przybyciu pociągiem paryskim cicerone katedralny otwiera drzwi do wspaniałéj świątyni. Podziwia on złoto, marmury, cuda snycerstwa i rzeźbiarstwa, rozkoszuje się niemi, ale nie pomyśli ani na chwilę o świętym, lub jeśli sobie o nim przypomni, to tylko aby zrobić uwagę, że wielkie jeszcze pytanie czy na tamtym świecie jest on tak zadowolony i dumny z tego zbytku, jaki tutaj grób jego otacza, jak jego rodzina i miasto, w którem się jego grób znajduje.

W katedrze medjolańskiéj znajduje się posąg świętego Bartłomieja, który, jak wiadomo, umęczony został przez obdarcie ze skóry. Jest to piękna praca rzeczywiście i panie medjolańskie znajomych sobie turystów upominają, aby nie pominęli tego posągu znajdującego się przy wejściu przez portyk prawy. Nasuwa się tu uwaga, że francuzka nigdyby nie uczyniła takiéj uwagi lub gdyby ją uczyniła, byłoby to połączone z rozmaitemi minkami i gestami oburzenia bardzo wdzięcznemi i powabnemi. Włoszka mówi po prostu, bez żadnego niezwykłego poruszenia czoła lub ust, najnaturalniéj i poważnie: „Nie zapominaj pan tego zobaczyć“. Sztuka tutaj nie jest podejrzywaną o budzenie wrażeń, których nie wyraża i nie ma na celu rzeczywiście.

Poszedłszy z katedry do *Academia di Belli Arti*, zachwycamy się widokiem fresków, któremi ją przyozdobili Ferrari i Luini. Są to malowidła dziwnéj prostoty i wyrazistości zarazem! Nie myślimy się tutaj wdawać w studja estetyczne. Naszem zdaniem śmieszni są ci podróżni, którzy podróżują wyładowawszy sobie głowę frazesami metafizyków sztuki, ludzi, którzy piszą na wiersze artykuły artystyczne, i którzy woleliby połknąć obsadkę swego pióra, niż powiedzieć: „jest to piękne i podoba mi się dlatego, że jest piękne". Precz z analizą! Rozkosz artystyczna nie jest w rozbiorze, ale w patrzeniu i podziwie. I rzeczą jest niezawodną, że owi sławni artyści dawniejsi, których dzieła przy oglądaniu sprawiają nam tę rozkosz, nie mieli innego celu. Nie zmienimy swego zdania choćbyśmy z Akademji sztuk pięknych poszli do pałacu Porera, gdzie się znajduje *Sposalizio* arcydzieło wrzącéj żądzami krwi Rafaela, który je stworzył w dwudziestym pierwszym roku życia, lub nieudany wysiłek Canovy, który chciał nadać Napoleonowi I charakter bohatera starożytnych posągów. Jest to statua bronzowa, którą widzieć można na podwórzu pałacu. W klasycznéj obnażonéj postaci, trzymający w ręku zwycięstwo stoi przed nami bohater, lecz przyznać trzeba, że patrząc na niego wcale nie przychodzi na myśl Austerlitz. To prawda, że nie przypomina się także wcale 18 brumaira. Studjujemy go jak jakiś antyk, i dość nam zauważyć jakąś zbyt plastyczną wypukłość, abyśmy zapomnieli o wszystkich czynach męża, którego przedstawia posąg.

Pierwsze godziny popołudniowe przeminęły. Przechadzając się ulicami Medjolanu przybyliśmy na koniec miasta. Zatrzymujemy się przed portykiem starego kościoła i pytamy, co to za kościół. To Santa Maria delle Grazie. Znane nam już było to nazwisko. Tutaj w starym refektarzu klasztornym Leonardo da Vinci wymalował na ścianie swoją *Wieczerzę*. Opowiadania wszystkich podróżnych, wszystkie książki traktujące o sztuce włoskiéj powiedziały nam, że fresk ten może być uważany za nieistniejący, gdyż biedne jego szczątki znikają z każdym dniem. Wahaliśmy się czy wejść. Po cóż było zasmucać się widokiem pleśni rozpościerającéj się w miejscu, w którem było arcydzieło. Niezdecydowani weszliśmy do kościoła. Stara kobieta, która skulona siedziała przy wejściu, podnosi się i pyta, czy chcemy zobaczyć refektarz. Głos téj Sybilli wydaje nam się głosem przeznaczenia, które chce, ażebyśmy obejrzeli ten fresk. Idziemy za nią, przebywamy podwórze oraz, jeśli się nie mylę, ogród i jesteśmy w refektarzu. *Wieczerza Pańska* Leonarda da Vinci, jest przed nami na murze w głębi.

Patrzymy na nią z tem poszanowaniem i mimowolnem wzruszeniem, z jakiem się patrzy na każdą ruinę, na każdy szczątek wielkości minionéj.

Pierwsze wrażenie jest bardzo przykre w istocie. Dzień miał się ku schyłkowi. Miałem ochotę zawołać na słońce: „nie gaśnij" i na fresk: „nie znikaj!". Jeden szczegół przyciągał mnie ku sobie najbardziéj: lewa ręka Jezusa wyciągnięta nad stołem, otwarta i doskonale dochowana. Ręka to męzka, ludzka prawdziwie, zdająca się wypowiadać ideę braterstwa; nie jest chuda i wysmukła, otwiera się nie po to, aby zaziemskiemi tylko obdarzać darami, jest pełna i silna, wyciągnięta jako symbol miłości braterskiéj dla wszystkich, pomocy i opieki dla uciśnionych. Koloryt jéj żywy i różowy, maluje zapomnienie zupełne o sobie, ale nie pogardę rzeczy ziemskich. Ta ręka otwarta ściąga podziw wszystkich, którzy rozumieją sztukę.

Niektóre części fresku są jeszcze widzialne i można się przekonać o ile postawy, gesta i niektóre fizjognomje różnią się od owych kopji znanych z najbardziéj cenionych rycin. Powiemy więcéj. Z pod zasłon pleśni dusza dzieła przemawia jeszcze w całości do widza i wrażenie jakie czyni góruje nad wszystkiem we wspomnieniach, które wywozimy z Medjolanu.

Walery Vernier.

Z KRAJU I ŚWIATA.

Przestroga konieczna dla niektórych. — Przykład nadwiślański do naśladowania nad Pełtwią. — Potop i wulkan.— Spowszedniałe odkrycia. — Drażliwość naddunajska. — Dziwne losy pewnego dramatu.— Nowy utwór Ujejskiego.

Rozpocząć muszę od przestrogi, za którą może niejedną wdzięczność sobie pozyskam. Jeżeli piękna Czytelniczko lub szanowny Czytelniku znajdujesz się w tem położeniu, że ci potrzeba przemówić do kogoś w interesie innéj osoby, racz przedewszystkiem, nim się na ten krok odważysz, zastanowić się, czy imię lub nazwisko osoby, do któréj zamierzasz się udać nie zaczyna się od liter *Ka. Br.*, a gdyby tak było, zaniechaj chwilowo wszelkich instancji, dopóki się nie dowiesz, czy ta osoba nie ma zwyczaju umieszczać inseratów w „Dzienniku Polskim".

Stało się bowiem, że w dziale ogłoszeń tego pisma, jakaś osoba niewymienionéj płci, stanu i miejsca zamieszkania, podpisana tylko literami *Ka. Br.*, umieściła uwiadomienie zaczynające się od słów: „Kto się do mnie zgłosi w interesie innéj osoby zostanie z n i e w a ż o n y m", a że nikt dobrowolnie nie zechce się narażać na zniewagę, i że niewiadomo czy te litery oznaczają imię i nazwisko, czy też nazwisko i imię, niewiadomo również czy ten pan *Ka. Br.* nie jest panią, lub czy ta pani *Ka. Br.* nie jest panem, niewiadomo wreszcie gdzie to znieważające indywiduum przebywa, przeto najlepiéj wstrzymać się aż do bliższych wyjaśnień od wszelkich stosunków towarzyskich z osobami, do których te cyfry zastosowane być mogą, tembardziéj, że dalsze ustępy „uwiadomienia", których tu powtórzyć niepodobna, nie pozwalają przypuszczać, aby ów *Ka. Br.*, gdybyśmy się do niego w interesie nie drugiéj ale pierwszéj albo trzeciéj osoby (to jest jego własnym) zgłosili, umiałby nas przyjąć przyzwoicie.

Z drugiéj strony interesem jest wszystkich, których imiona zaczynają się od *Ka.*, a nazwiska od *Br.* lub odwrotnie, a więc wszystkich Karolów, Kajetanów, Katarzyn i Kamilli Br.... jak również wszelkich Bronisławów, Brunonów, Brygid i Bronisław Ka.... zdemaskować owego znieważyciela, ażeby z siebie zdjąć banieję, w którą najniewinniéj i najniespodziewaniéj popadli, a zarazem upraszać każdéj z osobna i wszystkich w ogóle administracji pism wychodzących w promieniu stumilowym na około, ażeby podobnych inseratów, stawiających niezasłużenie w przykrem położeniu osoby zupełnie nieinteresowane, na przyszłość do szpalt swoich nie przyjmowały.

Co do mnie, gdybym był administratorem jakiego pisma i przyszło do mnie takie *Ka. Br.* z takiem jak powyżéj wspomniane uwiadomieniem, miałbym łatwy sposób sprowadzenia go na drogę przyzwoitości i rozsądku. Powiedziałbym mu, że tego rodzaju uwiadomienia już przestały być modnemi, a za to weszły w modę inaksze, takie np. jakie znalazłem w „Wieku" z d. 29 października, a króre tu powtarzam dla użytku owego *Ka. Br.* Napisano w tym inseracie co następuje:

„Celem zreparowania i odwołania faktu, jaki miał miejsce przed miesiącem w towarzystwie prywatnem, składam **rs. 150** na wsparcie dla wdów i sierót po podupadłych literatach lub inny cel filantropijny. Rozdział tego funduszu pozostawiam uznaniu Redakcji. *X.*"

Otóż takie ogłoszenia są teraz modne, a przynajmniéj zasługują na to, aby się stały modnemi i byłbym wielce zbudowany, gdyby owo *Ka. Br.* nadesłało do redakcji tego pisma, w którem wydrukowało swój inserat odpowiednią do swéj możności ofiarę na jaki cel filantropijny lub pożyteczny: „dla zreparowania i odwołania faktu, jaki z jego winy miał miejsce w piśmie publicznem". Byłaby to satysfakcja, jaką owo *Ka. Br.* winno dać sobie samemu za wybryk, którem zrobiło lub zrobić mogło niesłuszną przykrość wielu osobom, ale ostatecznie ośmieszyło tylko samo siebie.

Nie tracąc nadziei, że owo *Ka. Br.* nieomieszka się poddać takiéj *amende honorable*, przechodzę do obowiązków sprawozdawczych, streszczając najprzód wiadomości, jakie mi nadeszły ze „świata".

W Hiszpanji druga edycja potopu, a na Węgrzech i w krajach sąsiednich trzęsienia ziemi i tworzące się wulkany. Co za wspaniały kontrast!... Rok 1879, któremu za niewiele już tygodni świeczka pogrzebowa zaświeci, jest sobie rokiem w stylu Wiktora Hugo, rokiem antytez i to nietylko na ziemi, ale nawet na niebie, gdzie dyrektor obserwatorjum morskiego w Pola pan J. Palisa, odkrywa aż po cztery planety teleskopowe w ciągu jednego miesiąca, czyli po jednéj tygodniowo. Dzięki temu odkrywcy i perjodyczności jego odkryć, będziemy może na przyszłość uwolnieni od nużących już trochę swoją jednostajnością zawiadomień w dziennikach, że znowu nową planetę odkryto, i że ich liczba doszła do takiéj a takiéj. Na przyszłość rzecz ta przejdzie w dziedzinę wiadomości kalendarskich, gdzie obok przepowiedni pogody będzie można podawać przy każdéj lunacji niezawodne proroctwo, że astronomowie odkryją jakąś planetę teleskopową, a zatem ich liczba ogólna, która w dniu 21 października wynosiła 208, wynosić będzie o tyle więcéj, ile od téj daty upłynęło tygodni.

Jeżeli jednak można już napewno przepowiadać odkrycia astronomiczne na niebie, być prorokiem na ziemi będzie, jak się zdaje, zawsze dość trudno. Któżby naprzykład czytając powieść Bałuckiego *Byle wyżéj*, lub będąc na przedstawieniu przerobionego z niéj dramatu *Rodzina Dylskich*, mógł przepowiedzieć, że ta powieść, a raczéj przerobiony z niéj dramat, zostanie kiedyś przez wysoki oficjalny areopag uznanym za niemoralny i zakazanym, notabene tam, gdzie zakazywanie przedstawień scenicznych z powodu niemoralności należy do fenomenalnych wypadków. Stało się to jednakże niedawno w Wiedniu. *Rodzina Dylskich* w tłómaczeniu niemieckiem p. n. *Jagd nach dem Glücke*, miała być przedstawioną w Stadttheater, ale zakaz cenzuralny stanął temu na przeszkodzie, z powodu jakoby niemoralnéj tendencji i sytuacji, przedstawiających w krzywdzącem świetle niektóre stany. Wyznajemy, że znając oryginał, a raczéj oba oryginały tego utworu, bynajmniéj nie możemy się domyśléć, co mianowicie mogło obudzić tę niezwyczajną drażliwość wiedeńskiego areopagu, chyba więc tłómacz niemiecki poczynił jakie niewłaściwe dodatki. Ponieważ dyrekcja teatru zaniosła rekurs przeciw zakazowi, zapewne zatem sztuka przedstawioną zostanie z niejaką modyfikacją lub zupełnem opuszczeniem owych dodatków, a chwilowa przeszkoda w przedstawieniu wyjdzie jéj na dobre, bo zainteresuje publiczność. I stać się może fakt rzadki niezawodnie w dziejach utworów dramatycznych, jeżeli nie bezprzykładny. *Rodzina Dylskich*, o któréj u nas wydano sąd dosyć jednomyślny, że jest utworem nie należącym do najznakomitszych produkcji utalentowanego autora *Radców pana radcy*, może znaleźć nad błękitnym Dunajem, na wielkoświatowéj scenie, takie powodzenie, jakiego nie znalazła na scenach naszych, i silna tym sukcesem powrócić do nas po laury, jakich przedtem nie zebrała. Byłoby czemś rzeczywiście oryginalnem, gdybyśmy tę sztukę oryginalną polską, dopiero w tłómaczeniu z niemieckiego przekładu ocenili podług rzeczywistéj wartości!

Widzę jednak, że się bawię w proroka, a sam powiedziałem przed chwilą, iż trudniéj jest być prorokiem na ziemi, niż na astronomicznem niebie. Ażeby się cofnąć z tego bezdroża, nie pozostaje mi nic innego, jak zakończyć dzisiejszą kronikę doniesieniem, że milczący od tak długiego czasu Kornel Ujejski, ujął znowu za pióro i obdarzył nas „rzeczą dramatyczną" p. n. *Smok siarczysty*, która ukaże się wkrótce w druku i na scenie i przyczyni zapewne jeden listek do wieńca sławy znakomitego poety.

Kraków dnia 7 listopada 1879 roku.

Omikron.

TEATR.

Występy pani Modrzejewskiéj.

Szczupłość ram dodatku literackiego naszego pisma, nie pozwala podawać obszernego rozbioru sztuk i krytyki gry artystów, lecz o ile to będzie w naszéj możności, postaramy się, przynajmniéj w krótkich i treściwych sprawozdaniach, obznajamiać piękne Czytelniczki z przebiegiem dramaturgji na krakowskiéj scenie.

Zjawienie się pierwszorzędnéj gwiazdy artystycznéj, było fenomenalnym wypadkiem dla publiczności krakowskiéj, to też przez kilkanaście przedstawień, teatr literalnie bywał przepełniany, a krakowianie z entuzjazmem niekłamanym przyjmowali wielki talent, błyszczący na obydwóch półkulach świata. Chcąc rozebrać grę pani Modrzejewskiéj we wszystkich jéj kreacjach, trzebaby spisać liczne foljały; zostawiamy tę pracę Syzyfa ludziom specjalnie się poświęcającym zawodowi krytycznemu, my zaś z obowiązku, w lekkim zarysie przebiegniemy dzieje tych kilku tygodni, podczas których pani M. rozrzucała perły i drogie kamienie po scenie krakowskiéj.

Pierwszym występem gościnnym była rola Adrjanny w słynnym dramacie „Adrjanna Lecouvreur", który przez długie lata trzyma się na repertuarze komedji francuskiéj i służy jako *cheval de bataille* dla każdéj wielkiéj artystki. Jest to jedna z najpiękniejszych kreacji pani M. Koniec aktu piątego, gdy biedna Adrjanna kona, odegrany był mistrzowsko, a publiczność opuszczała teatr pod tem dziwnem i zarazem potężnem wrażeniem, gdzie się kończą wszelkie nadzieje, a rozpoczyna głęboka i nieprzejrzana wieczność. Artystka przedstawiła nam realistyczną prawdę, ze wszystkiemi odcieniami ostatniéj agonji, a jednakże ta okropna prawda okrytą była tak estetyczną iluzją, że widzowie uwielbiali realizm rzeczywistości w połączeniu ze sztuką znakomitego odtworzenia.

W drugim występie komedji Sardou „Nasi najserdeczniejsi", pani M. przedstawiła rolę Cecylji Caussade. Ujrzeliśmy paryżankę czystéj wody — lekką, płochą, kokieteryjną, pozwalającą się uwieść nawet chwilowemu popędowi, lecz w danéj chwili zatrzymującą się nad brzegiem saméj przepaści. Rola ta, na pół dramatyczna, nie daje wielkiego popisu i potrzeba tak znakomitego talentu, jak pani M., aby ją wysunąć na pierwszy plan i uwagę widza oderwać od innych osób.

Jako Marja Stuart, dowiodła artystka, iż nie jest talentem, ale genjuszem. Scena rozmowy z Elżbietą, należy do najświetniejszych momentów gry. Tu się kończy zwykła krytyka a rozpoczyna uwielbienie. Ristori, jedna z największych artystek włoskich, któréj występy były szeregiem tryumfalnych pochodów we wszystkich stolicach świata, jest daleko niższą w téj roli i niech nam tu służą za porównanie słowa jednego amerykanina, obecnego na przedstawieniu: „Na występy Ristori płaciliśmy w Nowym-Yorku krzesło 5 dolarów, pani Modrzejewska wartą jest, aby krzesło płacić pięćdziesiąt dolarów" [1]).

W dramacie Feuilleta „Dalila", w roli księżnéj Falconieri, tak wielka artystka mogła tylko śmiało rzucić rękawicę wszelkim szlachetnym poczuciom. Owa wstrętna postać, wzbudzająca powszechne oburzenie, z pod ręki pani M. wyszła jako czarowna statua marmurowa, nowożytna Galatea, któraby kochała, gdyby miała serce.

Któż nie zna roli Anieli w „Ślubach panieńskich?" Widzieliśmy w niéj wiele artystek i przed kilku laty także panią M. Od wspaniałych kosmopolitycznych kreacji, wzbudzających podziw całego cywilizowanego świata, artystka róższczką czarodziejską przeprowadziła nas na swojskie niwy, okryte bławatkami i polnemi makami. Pełną piersią napawaliśmy się wonią polskich kwiatów, a owa blondynka o białéj cerze i ciemnych oczach, jakże ponętną dla nas była? Ojciec polskiéj komedji przeczuł gdy pisał to arcydzieło, że w niem występować będą czarodziejki.

Barbara Radziwiłłówna była tą czułą, smętną i kochającą żoną Zygmunta Augusta. W niektórych scenach zapominaliśmy, iż jesteśmy w teatrze i marzeniami przenosiliśmy się na Wawel do owéj komnaty, gdzie Zygmunt klęczał nad łożem Barbary. Scena ta upoetyzowaną została pędzlem przez Simlera; na deskach teatru krakowskiego ujrzeliśmy ją w rzeczywistości.

Na pochwałę dyrekcji musimy dodać, iż niczego nie zaniedbywała, aby tylko godnie uświetnić występy pani Modrzejewskiéj. W niektórych sztukach, jak w „Marji Stuart" i „Ślubach panieńskich", *ensemble* dochodził do perfekcji. Artyści i artystki idąc za swoją *gwiazdą*, starali się wyuczeniem ról i dobrą grą ozdobić ten wspaniały bukiet, złożony z kwiatów rosnących tylko w czarownych ogrodach Armidy.

Występy te długo będą pamiętne dla mieszkańców grodu Krakusa, a my składamy tylko pokorne życzenie, by owa *star* amerykańska rzadziéj jeździła za Atlantyk, a częściéj odwiedzała rodzinną ziemię. **J. K.**

[1]) Słowa te są autentyczne.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Środek poręczony a jednak bezskuteczny.

Pod tym tytułem od jednéj z łaskawych czytelniczek otrzymujemy następną korespondencję:

„Parę miesięcy temu w poważnéj „Neue freie Presse" w dziale rolniczym, stanowiącym stałą rubrykę tego pisma, znalazłam sposób tak zwanego „odbijania" kur, które chcą siedzieć na jajach, a których gospodyni posadzić nie ma zamiaru. Sposób ten, za którego niezawodną skuteczność zaręczono w tem piśmie, polega na tem, że kurze przywiązuje się na grzbiecie pęczek słomy wielkości pięści, kura chce się pozbyć tego dodatku, ale nie może tego uczynić, co jéj tyle sprawia zajęcia, że zapomina o siedzeniu. Zaufana w powagę wiedeńskiego organu, nie życząc sobie mieć kurcząt późno w jesieni, użyłam tego sposobu i przekonałam się, że jest bezskuteczny zupełnie, o czem przestrzegam inne czytelniczki, do których bądź z „Nowéj Pressy", bądź inną drogą mogła dojść wiadomość o tym niby niezawodnym sposobie. Kura oswaja się burdzo prędko z umieszczonym na niéj Strohmannem i pogodziwszy się ze swą dolą, chce wraz z nim wysiadywać kurczęta.

G. D.

RÓŻNOŚCI.

Przyrodnik. Pod tym tytułem zaczyna od 1 listopada r. b. wychodzić nowe pismo dwutygodniowe w Tarnowie, poświęcone naukom przyrodniczym, pod redakcją p. Zygmunta Merańskiego, nauczyciela miejscowego gimnazjum.

Przedsiębiorstwo ogrzewania miast za pomocą pary rozprowadzanéj rurami do rozmaitych domów z jednego centralnego punktu, tak jak się rozprowadza gaz, utworzyło się w Nowym-Yorku i zamierza we wszystkich wielkich miastach Ameryki północnéj urządzić takie zakłady ogrzewania domów. Miasto Buffalo już od dwóch lat posiada taki zakład, a miasta Detroit i Lockport urządziły podobne zakłady zeszłéj zimy i wszędzie ten sposób ogrzewania okazał się praktycznym.

Ślepy Hollow. Jest to tytuł opery, którą napisał czech Maksymiljan Maretzek, naturalizowany w Ameryce, i którą d. 25 września 1879 r. przedstawiono po raz pierwszy w Nowym-Yorku. Bez względu na zdanie, jakie o niéj wyda krytyka, i przyjęcie, jakiego doznawać będzie u publiczności, dzieło to pozostanie pamiętnem w historji sztuki, jest to bowiem pierwsza opera napisana na ziemi amerykańskiéj.

Najnowszy wynalazek w dziedzinie fotografji udało się zrobić fotografowi wiedeńskiemu p. Kroh. Wynalazł on metodę, za pomocą któréj w atelier fotograficznem nawet w czasie pochmurnym można zdejmować fotogramy wykończone aż do najdrobniejszych szczegółów, w ciągu jednéj sekundy. Uwalnia to osoby fotografujące się od zbyt długiego pozowania, a fotografom oszczędza nieudanych matryc. Jedna z firm wiedeńskich nabyła ten wynalazek za 10.000 złr. i odstępuje go za odpowiednią opłatą innym fotografom. Jeżeli wynalazek ten jest praktyczny, to jesteśmy pewni, że firma owa więcéj na tem zarobi, niż sam wynalazca, chociaż i on dość dobrze zapłaconym został, jeżeli rzeczywiście otrzymał podaną sumę. Wynalazek ten jest zatem jedną z ilustracji do artykułu „Parę odpowiedzi", który umieściliśmy w numerze 2 naszego pisma.

Tunel przez górę św. Gotarda, mający mieć długości 14.920 metrów (przeszło dwie mile), został już przekopany na przestrzeni 13.299 m. i zostanie ukończonym w ostatnich dniach listopada lub w grudniu r. b.

Środek na porost włosów, za pomocą którego włosy wyrastają na poczekaniu, ogłosił pewien przedsiębiorca w Chicago. Jeden z łatwowiernych przyszedłszy do sklepu kazał sobie łysinę potrzeć tym środkiem, i chciał czekać czy mu włosy wyrosną. Oznajmiono mu jednak, że w prospektach zaręczonem jest tylko, iż używający tego środka może czekać aż mu włosy wyrosną, ale nie zastrzeżono wcale, że ma czekać w sklepie, jegomość ów zatem został zmuszony oczekiwać w domu aż się spełni szarlatańskie przyrzeczenie i — dotąd na to oczekuje.

Osobliwość w XIX stuleciu. Według dzienników petersburgskich włościan wsi Tichwina w gubernji nowogrodzkiéj pociągnięto do odpowiedzialności za spalenie żywcem pewnéj kobiety, którą podejrzywali, że jest czarownicą.

Nieutulona w żalu. Najbardziéj „nieutuloną w żalu" wdową na obu półkulach, jest niezawodnie pani Mary Williams, z pierwszego ślubu Franx, z drugiego Riggs, z trzeciego Farron, z czwartego Vallace, z piątego Barry, z szóstego Pratt, z siódmego Abbot, mieszkająca w Nowym-Yorku i owdowiała w tych dniach po siódmym swoim małżonku. Po śmierci każdego z mężów nosiła ona skrupulatnie przez rok i sześć niedziel żałobę, i podpisywała się „nieutulona w żalu wdowa". Utuliła się jednak już sześć razy i jest nadzieja, że się po raz siódmy utuli, gdyż nazajutrz po zgonie p. Abbot miała sen, który według sennika znaczy zamążpójście. Młoda ta wdówka, siedmioma dożywociami posażna, wychodząc przed 4 laty siódmy raz za mąż, liczyła 82 wiosnę życia.

Pociąg kolei wysadzony w powietrze. Według dzienników madryckich straszne nieszczęście zdarzyło się pod San Petro w prowincji Honduras, pomiędzy tem miastem a Puerto-Cortes. Pociąg wiozący 110 cetnarów prochu w 2 wagonach eksplodował z niewiadoméj przyczyny. Ani jeden człowiek z podróżnych albo służby nie ocalał. Dotychczas nie zdołano nawet odszukać zwłok tych nieszczęśliwych, które wybuch poszarpał na kawałki i rozrzucił na wszystkie strony, poczęści do pobliskiéj rzeki Chamelecon.

KORESPONDENCJA ADMINISTRACJI.

Pani K. W. w Morozówce, poczta Okno na Bukowinie. Żądane próbki materji na suknie w najmodniejszych kolorach i kaszmiru tureckiego do ubierania sukni, wysłaliśmy z podaniem cen dnia 5 b. m. Dziękujemy za zaszczycenie nas tym komisem i zawiadamiamy, że wszelkie takie i tym podobne zlecenia Łaskawych Czytelniczek najchętniéj załatwiać będziemy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek.

Właściciel: Ksawery Głodziński. — Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Faustyn Filasiewicz. — W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.

Dodatek do Nru 3 „Salonu Paryskiego".

OD WYDAWNICTWA.

Obok drukującéj się oryginalnéj powieści

ZMYLONE KIERUNKI

pióra **Aurelego Kurcza**, czyniąc zadość życzeniom łaskawych Czytelniczek rozpoczynamy w dzisiejszym numerze powieść Marji de Tissonière p. n. **Oszukani**, niezwłocznie zaś umieszczać zaczniemy przekład nowelli **G. Linhardta**, nagrodzonéj w roku zeszłym na konkursie w Wiedniu, p. n.

WALKA O SZCZĘŚCIE.

W działach poezji, pogadanek naukowych, artykułów historycznych i podróżniczych, jak również do działu kroniki mody, gospodarstwa domowego, perjodycznych feljetonów z kraju i świata, przeglądów literackich, zapewniliśmy sobie stałe i cenne współpracownictwo utalentowanych autorów i autorek.

Redakcja „Salonu Paryskiego" będzie uważała za swój najmilszy obowiązek, czynić zadość, o ile to będzie możliwem, wszelkim życzeniom objawianym przez Szanowne Czytelniczki i Łaskawych Czytelników, uprasza zatem o zaszczycenie jéj objawianiem tych życzeń, oraz nadsyłanie materjałów do kroniki bieżącéj, które z wdzięcznością zużytkowane zostaną w formie, jaka uznana będzie za najstosowniejszą.

Administracja **Salonu Paryskiego** uprasza osoby życzące regularnie otrzymywać pismo od początku wychodzenia, o bezzwłoczne nadsyłanie przedpłaty, wyraźne wypisywanie adresów i scisłe trzymanie się cen prenumeracyjnych.

Przedpłata na **Salon Paryski** w wydaniu dwutygodniowem wynosi:

	rocznie	półroczn.	kwart.
W Krakowie .	złr. 14·—	złr. 7·—	złr. 3·75
W Galicji i całéj Austrji . .	złr. 14·50	złr. 7·25	złr. 3·90
W Warszawie	rsr. 10·—	rsr. 5·—	rsr. 2·70
W Królestwie i Cesarstwie Ros.	rsr. 12·—	rsr. 6·—	rsr. 3·25
W Ces. Niemieck.	mrk. 25·—	mrk. 12·50	mrk. 6·50

Cena **numeru pojedynczego** wynosi:
w Krakowie 60 c., w Warszawie 40 kop.
Z przesyłką pocztową w Galicji i Austrji 65 c., w Cesarstwie Niemieckiem 1 mark. 10 fen., w Królestwie i Cesarstwie Rosyjskiem 45 kop.

Osoby, które otrzymały numera rozesłane **na okaz**, upraszamy najuprzejmiéj o łaskawą wzmiankę przy zaprenumerowaniu, który numer już otrzymały, dla oszczędzenia kosztów powtórnéj przesyłki.

Cena ogłoszeń umieszczanych w „Salonie Paryskim" wynosi 8 cent, 6 kop., 15 fen. za wiersz druku drobnem pismem.

Adres Redakcji i Administracji **Salonu Paryskiego**: Kraków, ul. Reformacka 254, I piętro; adres właściciela: Ksawery Głodziński, Warszawa, ulica Miodowa, 1. Ajencja we Lwowie: Fr. Głodziński, ulica Halicka Nr. 13. Pod każdym z tych adresów przyjmuje się przedpłata i ogłoszenia za nadesłaniem *franco* odpowiedniéj kwoty.

Najtańszym środkiem przesyłki pieniędzy są przekazy pocztowe.

Formy wycinane z papieru.

Wydawnictwo „Salonu Paryskiego" dostarcza na żądanie Szanownych Czytelniczek form wycinanych z papieru, po cenach następujących:

	złr.	ct.	rsr.	kop.	m.	fen.
Forma stanika . .	—	70	—	60	1	20
Cały fason	2	—	1	60	3	20
Forma płaszcza . .	1	70	1	40	2	80
Forma paltota . . .	1	—	—	80	1	60

Zamówienia na formy nadsyłać należy z Galicji, W. księstwa Poznańskiego i Prus do Administracji „Salonu Paryskiego" w Krakowie ul. Reformacka Nr. 254, zaś z Królestwa i Cesarstwa do Wydawcy „Salonu Paryskiego" w Warszawie ul. Miodowa Nr. 1.

Uprasza się osoby zamawiające formy, ażeby trzymały się ściśle cen powyżéj wyrażonych, wyraźnie wypisywały adresa, dokładnie wymieniały jakiéj formy żądają, oraz nadsyłały miarę podług objaśnień w poprzednich numerach umieszczonych, t. j. objętość górną, pasową, boczki, plecki, przodek i rękaw, wszystko według miary centymetrowéj.

Druk niniejszego numeru ukończony został d. 10 listopada, numer następny wyjdzie najpóźniéj d. 25 listopada z ryciną kolorowaną.

OSZUKANI.

POWIEŚĆ

Marji de Tissonière.

I.

Najpiękniejszy dom miasteczka i doliny Lessade w okolicy miasta Cantal w Owernji, należał do „ojca" Bouchet, którego tak nazywał pogardliwie mer gminy Lessade pan de Folesse, chociaż w skrytości zazdrościł mu jego majątku.

Dom ten był nowy, świeżo pobielony, z ogrodem otoczonym sztachetami, które za coś osobliwego uważali okoliczni mieszkańcy.

Powodem téj opinji było, że „ojciec" Bouchet był bogaty. Przybył on z Paryża z kapitałem wynoszącym trzykroćstotysięcy franków.

Pan de Folesse mówił o nim:

— Widziałem go przed trzydziestu laty jak opuszczał naszą okolicę w sabotach z pięcioma frankami w kieszeni. Jakim sposobem ten stary łotr dorobił się majątku? Powiada, że handlował starem żelaziwem, ale Bogu tylko wiadomo, jakie szelmostwa pod tem się kryją!

„Ojciec" Bouchet był ojcem jedynaczki, która się kształciła na jednéj z najlepszych pensji paryskich. Był on wdowcem a zestarzawszy się postanowił powrócić w swoje niegdyś okolice, ażeby olśnić swoich współziomków blaskiem swych bogactw.

Panna Róża Bouchet, licząca lat dwadzieścia dwa, była porządnie brzydka, nieco nawet kulawa, lecz po matce swéj, paryżance, odziedziczyła umysł bardziéj rozwinięty i szersze poglądy, niż to było zwyczajnem u współziomków jéj ojca.

Rodzinnéj swojéj okolicy Owernji nie znała wcale, gdy ojciec ją zawezwał, ażeby tam powróciła.

Spełniając rozkaz swego życiodawcy, w drodze z Murat do Lessade, przypatrywała się z dziwnem uczuciem ogromnym błoniom, których rzadką trawę pokryła na czas zimy gruba warstwa śniegu.

Wioski z dachami poszytemi słomą, w których bawiły się chodząc boso po błocie silnie zbudowane dzieciaki o szkarłatowych policzkach, nie budziły z jéj strony wielkiego podziwu.

Od czasu do czasu słychać było zdaleka szczekanie psa i wystrzał, znamionujące obecność myśliwca.

— Tak pięknie, mój ojcze, przedstawiałeś mi swoją okolicę rodzinną, — mówiła Róża, — że szczerze pragnęłam ją zobaczyć, dotychczas jednak nie spotkałam nic takiego, coby usprawiedliwiało twoje pochwały. Już maj, a tutaj zimno i od czterech godzin znajdujemy się w okolicy prawie pustéj i nużąco jednostajnéj.

— Poczekaj aż przybędziemy do doliny, moja córko, widok jéj wynagrodzi cię za wszystko.

Zobaczywszy dolinę panna Bouchet przyznała, że widok na okolicę był tu bardziéj ożywiony i urozmaicony, zaledwie jednak wprowadziła się do nowo zbudowanego domu, zaczęła drażnić owerniackie nawyknienia i poglądy swojego ojca.

— Twoi współziomkowie, mój ojcze, — mówiła do niego, — wydają mi się sztywnymi i nieokrzesanymi, jak skały, które ich otaczają, i jak surowy klimat ich okolicy. Kochają się tylko w pieniądzach a nie umieją ich używać. Nie mają najmniejszego poczucia piękna; na wychowanie kwiatu trzeba cała ziemi, dla nich milszą jest wiązka siana. Widok serów, łąk wiecznych i beczenie owiec, zastępuje dla nich wszelkie harmonje i wrażenia wszelkich dzieł sztuki. Kraj ten, w którym cywilizacja jest zacofaną o dwa stulecia, znudziłby mnie bardzo prędko. Drogi tu zamieniają się w strumienie, a zamki podobne są do chat, bo tak te jak tamte otaczają łany ziemniaków.

Gdyby to kto inny, a nie własna jego córka tak krytykowała jego ukochaną Owernję, „ojciec" Bouchet byłby się gniewał. Ponieważ to Róża pozwalała sobie takich uwag, więc odpowiedział z dobrocią:

— Później wydasz korzystniejsze zdanie o naszych stronach. Na mnie powietrze naszych gór wywiera wpływ odmładzający. Gdy pójdziesz za mąż będziesz mogła powrócić do Paryża, ale dla starych kości potrzeba rodzinnego powietrza.

Panna Bouchet musiała się pogodzić ze swym losem. Ażeby się rozerwać jeździła z wizytami do sąsiadów, mieszkańców miasteczka Lessade i do właścicieli wiosek okolicznych.

Pierwszą wizytę oddała merowi, panu de Follesse, który zamieszkiwał najbardziéj malowniczą część doliny, o kwadrans drogi od Lessade.

II.

Na pochyłości góry po części pokrytéj lasem znajdował się dom pana de Folesse, górujący nad okolicznemi dolinami, wpośród ktorych wiła się rzeczka ocieniona drzewami.

Widok ten zachwycił Różę, gdy tam przybywała po raz pierwszy.

— Jest to gniazdko otoczone zielenią, — mówiła do siebie.

Jednakże gdy się zbliżyła, znikł cały urok. Widać było, że wszystko było pozostawione opiece natury, że człowiek nie zajmował się bynajmniéj upiększeniem czegokolwiek i czynności swe ograniczał na naprawianiu szkód przez czas zrządzonych.

Dwór był budynkiem najprostszym w świecie i chociaż budowa jego sięgała 1600 roku, nic w nim nie przypominało zamku.

— Dom mój, — zwykł był mawiać dumnie mer gminy Lessade, — został zbudowany na zwaliskach zamku de Folesse, zburzonego przez jednego z naszych sąsiadów. Dziadowie moi zrabowani przez rewolucję, nie mogli odbudować swojéj siedziby, i musieli poprzestać na reparacjach przedsięwziętych małym kosztem i niejako zaimprowizowanych.

Oparty o zabudowania gospodarskie dom ten tworzył całość z oborami i śpichlerzami zamkniętą w kwadrat. Przestrzeń zawarta w tym kwadracie służyła za podwórze dla drobiu i wszelkich zwierząt domowych.

Róża musiała przechodzić w pośród kaczek, kur i gęsi; wieprz towarzyszył jéj na przechadzkach i wraz z nią usiłował dostać się do domu razem z różnorodnemi piórami okrytym inwentarzem podwórzowym.

Wszystko to tak dalece miało pozór siedziby wieśniaczéj, że Róża zadziwiła się zobaczywszy, że na jéj spotkanie wyszedł mężczyzna źle wprawdzie przyodziany, ale zdający się należéć do lepszéj sfery i wyrażający się poprawnie.

Był to pan domu.

Z uprzejmością i elegancją taką, z jaką wprowadzałby ją do pałacu, zaprowadził ją do obszernéj zadymionéj kuchni, w któréj były rozwieszone poćwiartowane członki zabitego wieprza.

Sześć psów i cztery koty spały lub przeciągały się ziewając przy kominku.

Pod wielką kapą komina piekł się kawał zabitego wieprza, a przy kominie dwaj młodzi

myśliwi palili fajki w towarzystwie leśniczego, który wraz z nimi siedział na wielkiéj skrzyni drewnianej, zawierającéj zapas soli.

Wracali oni z polowania i opowiadali leśniczemu swoją wyprawę łowiecką, a raczéj defraudacyjną, gdyż polowanie było jeszcze zabronione w téj porze roku.

Dwoje służących, dziewczyna młoda i świeża o białych zębach, i parobek w brudnéj odzieży jedli rosół z czarnym chlebem, a kilka kur, które wpadły do izby przez wpółotwarte okna, zbierało okruszyny spadające ze stołu.

Wszystko można było dostrzedz w téj kuchni: półtuzina strzelb, tyleż par butów, fajki i ubrania myśliwskie.

W jednym z kątów izby za małem przepierzeniem drewnianem, sypiał pan domu, w przeciwnym zaś rogu stało łóżko służącéj.

Izba ta była punktem centralnym mieszkania, ogniskiem, środkiem, w którym się schodzili wszyscy, zarówno ludzie jak zwierzęta. Pan de Folesse gościł tu ciągle. Tutaj przyjmował najwykwintniejszych gości i wieśniaków o czarnych rękach, grubych drewnianych sabotach i kapeluszach głęboko nasuniętych na głowę.

Kilka rodzin prosiąt krążyło swobodnie po izbie, wydając pisk przerażający, gdy które z nich czyim butem nastąpione, albo potrącone zostało.

Róża patrzyła na to z największem zdziwieniem. Wszystkie te szczegóły zdawały jéj się zdumiewającemi, ale sami gospodarstwo byli dla niéj większą jeszcze niezwyczajnością.

III.

Pan de Folesse pomimo lat sześćdziesięciu, zachował jeszcze ślady przystojności, która musiała być uderzającą. Różę zajmowała szczególniéj sprzeczność zachodząca pomiędzy jego ujmującem obejściem, a pospolitością przedmiotów i osób, które go otaczały.

Wesoły z mężczyznami, nadskakujący względem wszystkich kobiet z wyjątkiem tylko swojéj żony, był on jeszcze teraz miłym i powabnym.

Zalety jego jednak były tylko zewnętrzne. Był to człowiek bez stałych przekonań, samolub, przejęty miłością własną aż do najśmieszniejszéj dumy, człowiek uczuć poziomych i twardego serca przy pełnem łagodności obejściu, jednem słowem wielki komedjant. Zrzędny, złośliwy, z niczego niezadowolony u siebie w domu, na widok obcéj osoby przybierał natychmiast wykwintny sposób obejścia. To też poznać go było można dopiéro po długiéj zażyłości.

Okazał się on względem Róży nader uprzejmym, chociaż o „ojcu“ Bouchet wyrażał się w sposób nadzwyczaj szczery.

— Bardzo mi przykro, — rzekł tonem największéj uprzejmości do panny Bouchet, — że pani lepiéj przyjąć nie mogę; nasz sposób życia dziwnym się niezawodnie wyda paryżance.

Następnie przedstawił jéj swych synów.

— Jestem ojcem licznéj rodziny,—mówił,— mam pięciu synów i córkę. Spodziewam się, że tego lata wszyscy zbiorą się tutaj, w téj chwili jednak tylko dwaj najstarsi, Baltazar i Piotr, otrzymali urlopy.

Baltazar służył w piechocie i nosił képi z potrójnym galonem złotym. Byłby on odrażająco brzydki, gdyby nie rozumny wyraz oczu.

Gdy zaczął mówić można było w nim dostrzedz pewne cechy, które pomimo fizjognomji przypominającéj bandytę, znamionowały człowieka lepszego pochodzenia. Obejście jego było gładkie, wyrażał się poprawnie, jak ojciec.

Brat jego Piotr, nie ustępujący mu wcale pod względem brzydoty, zdawał się mniéj inteligentnym.

Obaj byli komedjantami tak jak ojciec, pozory arystokratyczne osłaniały usposobienia, obyczaje i uczucia najpospolitsze.

Przyjście pani de Folesse przerwało rozmowę. Ukazanie się jéj mąż i synowie przyjęli dość wyraźnie malującem się na twarzach niezadowoleniem.

Ta kobieta wydała się Róży dziwniejszą jeszcze niż wszystko, co dotychczas widziała.

Chuda, o policzkach szkarłatowych, jakby górskie powietrze opaliło jéj cerę, o ruchach szybkich i ostrych, w ubraniu dziwacznem, zdawała się być uosobieniem całéj ekscentryczności tego domu.

Jednakże pani de Folesse za młodu była bardzo ładną; zgryzoty i opryskliwe usposobienie uczyniły ją jednak w końcu podobną do królowéj czarownic. Patrząc na nią możnaby pomyśléć, że wprost przybywa z góry, na któréj czarownice obchodzą swe gody.

Nie opuszczała ona nigdy rodzinnéj okolicy, nic nie widziała, niczego się nie nauczyła ani nie domyśliła, była więc ograniczoną najzupełniéj, chociaż pochodziła ze szlacheckiéj rodziny.

Była jednakże dosyć złośliwą, aby odgadywać w sytuacji każdego strony bolesne lub żenujące i odsłaniając je uparcie, ranić dotkliwie.

Obecność téj kobiety przy osobach obcych, była męczarnią dla jéj męża i synów.

Obawy, któremi ich przejęło ukazanie się jéj, usprawiedliwione zostały wkrótce:

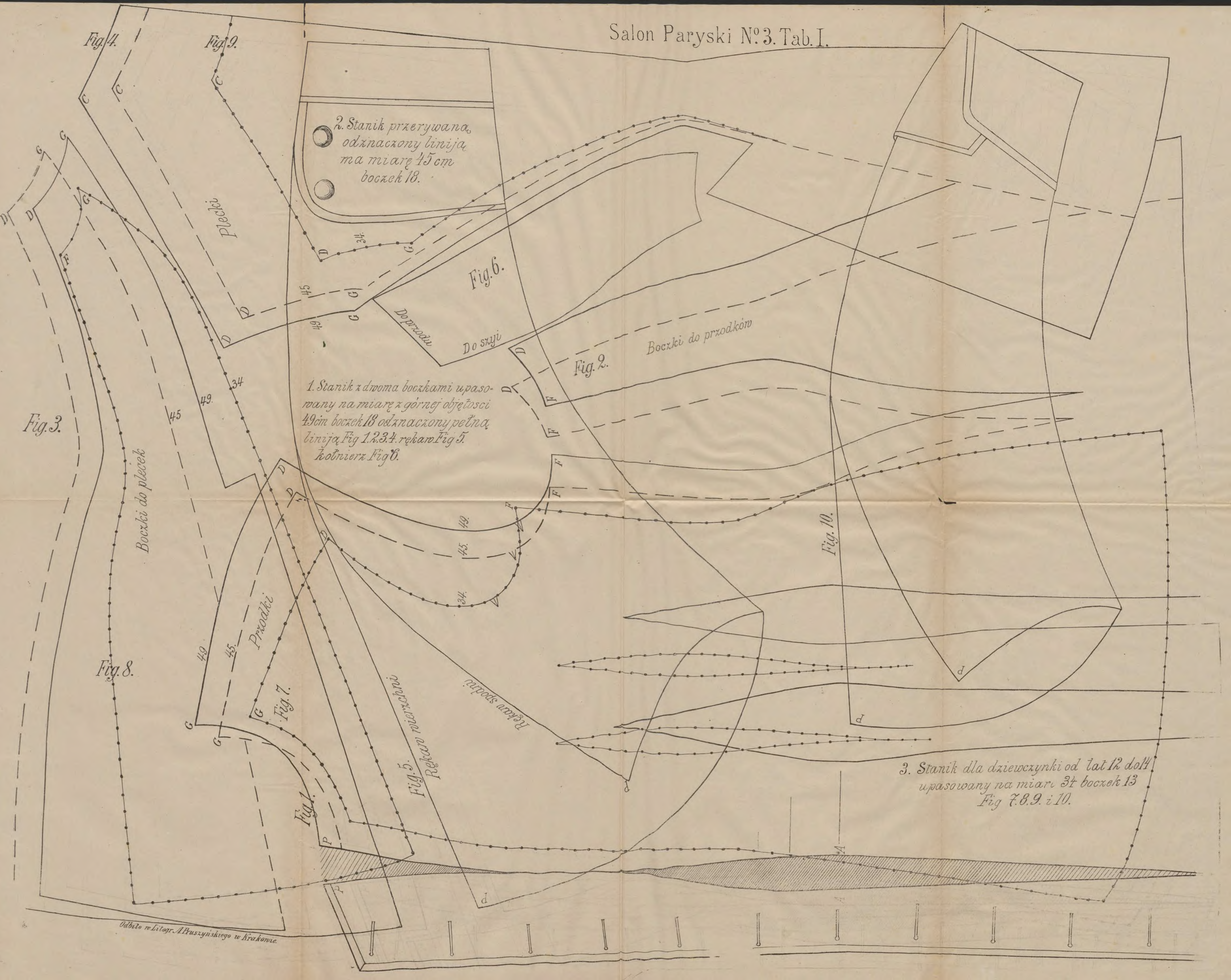
— Ojciec twój, panno Różo, — rzekła pani de Folesse w rozmowie, — nie był bogatym, gdy opuszczał nasze miasteczko, był nawet najbiedniejszym z całéj gminy, lecz był zawsze oszczędny. Czy przypominasz sobie, ojcze Bouchet, — dodała zwracając się do ojca Róży,— owe czasy, kiedy pasłeś krowy u mego teścia i co niedziela schodząc z góry ażeby pójść do kościoła, nosiłeś buty w ręku, ażeby się nie podarły? (C. d. n.).


Właściciel: Ksawery Głodziński. — Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Faustyn Filasiewicz. — W drukarni W. Korneckiego.



SALON · PARYSKI

Salon Paryski No 3. Tab. I.




Salon Paryski Tab. 2. do No 3.
Koniec poły przodka założony w górę jak strzałki wskazują
Koniec poły plecek założony w górę jak strzałki wskazują
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 15.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig. 18.
Fig. 19.
Fig. 20
Fig. 21.
Fig. 22.
Fig. 23.
Fig. 24.
Fig. 25.
Fig. 26.
Fig. 27.
Założenie
Założenie
do przodu
Żakiet z odciętą połą
Fig. 11. 12. 13. 14. 15_tunika Fig. 18.
Płaszcz Fig. 18. 19. 20. 21 i 22.
Krój sukni wizytowéj, Fig. 23. 24. 25. 26 i 27.
ODBITO W LITOGR. A. PRUSZYŃSKIEGO w KRAKOWIE.